WIDNOKRĄG

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"
8 listopada 1969 r.
Nr 45 (423)

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Październikowe refleksje

Kształty przyjaźni

Ze wszystkich uczuć ludzkich przyjaźń ma chyba wartość największą. Obce jej są fluktuacje sentymentów, zmienność nastrojów, przelotność doznań. U podstaw jej leży wzajemne zrozumienie i pewność wspólnoty. Przyjaciół poznaje się w biedzie, na przyjaciela można liczyć — to najistotniejsze. Samotność, brak oparcia są nie tylko największą tragedią jednostek, są także przyczyną klęsk i załamań całych państwowości. Mieliśmy tego dowody nie tak dawno w polskiej historii, świadomi też jesteśmy znaczenia absolutnej zbieżności ideologicznej, racji stanu, związków łączących nas z wielkim sąsiadem za wschodnią granicą coraz mocniejszymi niemi nie tylko wielkiej polityki, ale także gospodarki, nauki, kultury, codzienności.

Przy okazjach szczególnych przypomina się często co najmniej półtora wieku wspólnego nurtu walki i najszlachetniejszych dążeń społecznych i narodowych. Padają wtedy nazwiska Murawjowa, Rylejewa, Pestela, Bestużewa i innych dekabrystów z ich zawołaniem „historia należy do narodu", prowadzącym do wspólnych wystąpień przeciw caratowi, a dla nas perspektywicznie do niepodległości Polski. Niemal jednym tchem we wspomnieniach owych czasów wypowiada się zwykle imię największego naszego poety w kontekście z wieszczem Rosji. Mickiewicz — więc Puszkin. Ich przyjaźń idealnie przylega do symbolu, zawsze przecież łączyło nas to, co najlepsze, najszlachetniejsze, wybitne, rozdzielało zaś to, co obce, ciemne, wrogie.

Następne ogniwo polskiej walki narodowowyzwoleńczej dostarcza kronikarzom i publicystom kolejnego przykładu. Jest nim powstanie styczniowe 1863 roku i wpleciona w nie postać przywódcy rewolucyjnej organizacji oficerów rosyjskich Andrieja Potiebni. U grobu jego pod Skałą, gdzie padł w potyczce, święcimy nie tylko pamięć szlachetnego człowieka — ale i coś więcej. Był on przecież zaprzeczeniem różnic piętrzonych między obu narodami przez ciąg wieków, teorii ukutej i podtrzymywanej przez władzę, jej potrzebnej, zgubnej dla interesów narodowych. Był po prostu rosyjskim przyjacielem, indentyfikującym się dobrowolnie z walką jarzmionego narodu polskiego.

Później nastąpiły w historii naszych związków momenty decydujące. Wielki Październik zmienił podstawy naszych stosunków, dał podwaliny teraźniejszości. Rezultatem tej gigantycznej przemiany stać się miały — przeżywane już przez nas, a nie przez poprzednie pokolenia — wspólne walki i wspólne zwycięstwa. Często wracać będziemy to tych chwil przy okazji leninowskich obchodów, poświęconych stuleciu urodzin wodza rewolucji, którego z Polską i z Polakami łączyło tyle bliskich, serdecznych więzi.

W ramach wielkich kategorii historycznych warto również spojrzeć na ważką sprawę przyjaźni oczyma ludzkiej codzienności. Uchodzi na ogół uwagi ta sfera zbliżeń i kontaktów jednostek. Wspólny front, wspólna partyzantka ilu zrodziły serdecznych przyjaciół? Pomoc gospodarcza to przecież nie tylko obiekty, maszyny, urządzenia ale mnogość więzów osobistych. Resorty łączności w obu krajach mogłyby obliczyć w listach zasięg związków korespondencyjnych, żadne natomiast ministerstwo nie jest w stanie ująć w statystykę spotkań w czasie wizyt i wycieczek przegadanych godzin, wspomnień, planów, dyskusji. Prócz tego pozostaje jeszcze sfera związków nie bezpośrednich, ale w danym wypadku szczególnie mocnych. Kultura jako całość — sztuka, muzyka, literatura, film, balet radziecki, zawsze dla Polaków stanowiły przeżycie. Chłonność rynku książkowego, wypełnione sale imprezowe, serdeczność braw mówią także o przyjaźni. Elementy tej ostatniej znaleźć można, wyrażane na różny sposób przez wszelkie kręgi odbiorców kultury, z różnych grup wieku. A to także ma swoje poważne znaczenie.

Przyjaźń upersonifikowana imionami konkretnych po-

(Ciąg dalszy na str. 8)

„Człowiek — Świat — Polityka"

Dawno temu, na początku lat pięćdziesiątych, brałem często udział w seminariach, które miały uzbrajać aktyw młodzieżowy w niezbędny zasób wiadomości z różnych dziedzin: polityki, historii, gospodarki itp. Pamiętam, padały wówczas liczne pytania, np. kto stał na czele KPP. Usłyszeliśmy od prelegenta, a był nim autor kilku prac historycznych, że nie ustalono jeszcze nazwisk przywódców tej partii, gdyż badania nad jej historią są dopiero w toku.

Prelegent nie mógł zaspokoić naszej ciekawości: losy przywódców KPP były wówczas objęte „strefą milczenia" z przyczyn, które poznaliśmy dopiero po XX Zjeździe KPZR. Wtedy cała historia polskiego ruchu robotniczego i w ogóle historia najnowsza mieściły się w kilkunastu książkach i broszurach, które... wytyczały granice owych „stref milczenia". Wkrótce po XX Zjeździe, po zrehabilitowaniu KPP i jej przywódców, wspomniane granice przekreślono i z każdym rokiem wzbogacała się nasza wiedza, zamykająca się dziś w mnóstwie rozpraw, wspomnień czy zbiorach dokumentów.

„Strefy milczenia" obejmowały nie tylko historię, także wiele innych dziedzin życia społecznego i politycznego. Przełamanie tych ograniczeń spowodowało odrodzenie literatury społeczno-politycznej, jej wzrastającą popularność. Trzeba było niejako odrobić zaległości, trzeba było odpowiedzieć na pytanie, dlaczego te ograniczenia zaistniały, trzeba było generalnie odpowiadać na pytania dotyczące współczesności, kraju i świata. Słowem, demokratyzacja życia politycznego umożliwiła rozwój literatury społeczno-politycznej, a zapotrzebowanie na nią rośnie w miarę aktywizacji szerokich kręgów społeczeństwa.

Jakim kryterium powinien odpowiadać ten dział piśmiennictwa? Pytanie to jest o tyle ważne, gdyż w potocznym rozumieniu zwykło się zbyt wąsko pojmować literaturę społeczno-polityczną. Książką społeczno-polityczną jest ta, która podejmuje problemy społeczne i polityczne niezależnie od jej ga-

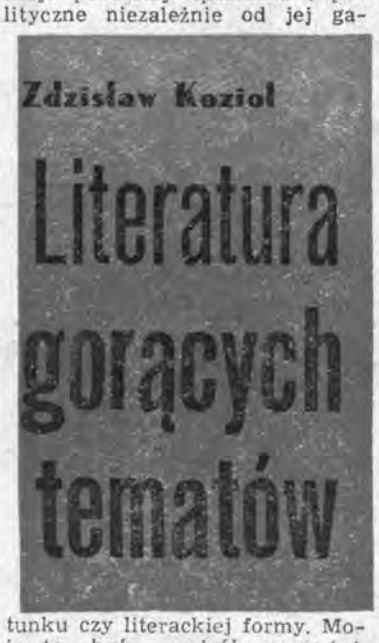

tunku czy literackiej formy. Może to być powieść, reportaż, wspomnienia lub zbiór dokumentów, monografia lub eseje historyczne, traktujące o sprawach nawet w czasie odległych, lecz o dużym znaczeniu aktualnym. Tytułem przykładu wymienię pisarstwo Załuskiego, chociażby jego książkę „Siedem polskich grzechów głównych", która wywołała tak żywą dyskusję, bo autor wydobył z historii to, co jest ciągle aktualne, a w ówczesnych warunkach (myślę o latach, kiedy się ta książka ukazała) — szczególnie aktualne. Książką par excellence społeczno-polityczną jest słynny już w kraju i za granicą „Pamiętnik matki" Marcjanny Fornalskiej. Także znakomita powieść Wacława Bilińskiego „Nagrody i odznaczenia" jest potwierdzeniem tezy, że i utwór beletrystyczny może być zaliczony do interesującego nas dziś działu piśmiennictwa; Biliński pisze o młodych ludziach, z których subiektywnie każdy chciał wolnej Polski, lecz do siebie wzajemnie strzelali, bo różnie tę wolność rozumieli. Autor nikogo nie potępia, nikogo nie kanonizuje, ale czytelnik wie, kto miał rację, a kto z tragicznymi skutkami błądził i dlaczego błądził. To bardzo dobra książka, odpowiada społecznemu zamówieniu, podejmuje nabrzmiały przez całe lata problem kombatancki.

Poseł Stanisław Wroński, prezes Spółdzielni Wydawniczej „Książka i Wiedza", powiedział mi kiedyś:

— Nie ma dziś „stref milczenia", są tylko tematy trudne, wymagające gruntownej znajomości problemu, a także sztuki pisania, bo teraz czytelnik staje się coraz bardziej wymagający, żąda, by literatura społeczno-polityczna podejmowała tematy gorące, nie unikała spraw drażliwych, spornych, dyskusyjnych.

Taka książka, nawet bez specjalnej reklamy, szybko znika z półek księgarskich i bibliotecznych, taka książka jest poszukiwana, istnieje na nią duże zapotrzebowanie, powiedziałbym — jest nawet głód takiej książki, głód, który nigdy nie będzie w pełni zaspokojony, gdyż życie toczy się nader wartkim nurtem. Mówiąc najogólniej ta literatura ma odpowiadać na nurtujące społeczeństwo problemy, ma to czynić szerzej i głębiej niż gazeta czy dziennik telewizyjny. Słowem, literatura społeczno-polityczna ma pomóc ludziom zrozumieć świat, pomóc człowiekowi w znalezieniu, w tym pełnym konfliktów świecie, swojego miejsca.

Przejdźmy jednak do pewnych spraw szczegółowych. Parokrotnie podnosiłem już problem książki o Polsce Ludowej, rozmawiałem na ten temat z autorami, wydawcami i działaczami politycznymi. Mówiłem, i nadal twierdzę, że na tle całokształtu piśmiennictwa społeczno-politycznego książka o Polsce Ludowej prezentuje się nader skromnie. Zaglądnijmy do katalogu wydanego z okazji ubiegłorocznej dekady książki społeczno-politycznej, organizowanej pod hasłem „Człowiek — Świat — Polityka". Wśród różnych działów mamy w tym katalogu wyodrębnione książki o Polsce Ludowej. Na pierwszy rzut oka dział ten prezentuje się wcale bogato, przynajmniej pod względem liczebności tytułów, lecz okazuje się, że mnóstwo wyszczególnionych tam pozycji nie ma nic wspólnego z Polską Ludową. Po co ta mistyfikacja? Przykład niepoważnego traktowania czytelnika czy też chęć ukrycia, że z książką o Polsce Ludowej nie jest najlepiej.

Nie pretendując do zgłębienia tematu chcę zwrócić uwagę na niektóre sprawy. Polscy dziennikarze i literaci docierają do najodleglejszych krajów, pokonują przeróżne przeszkody, by zdobyć wizę państwa, które nie jest zainteresowane przyjazdem kogoś zza „żelaznej kurtyny". Za granicą, zwłaszcza w krajach Trzeciego Świata, pracuje wielu polskich ekspertów: budu-

(Ciąg dalszy na str. 5)

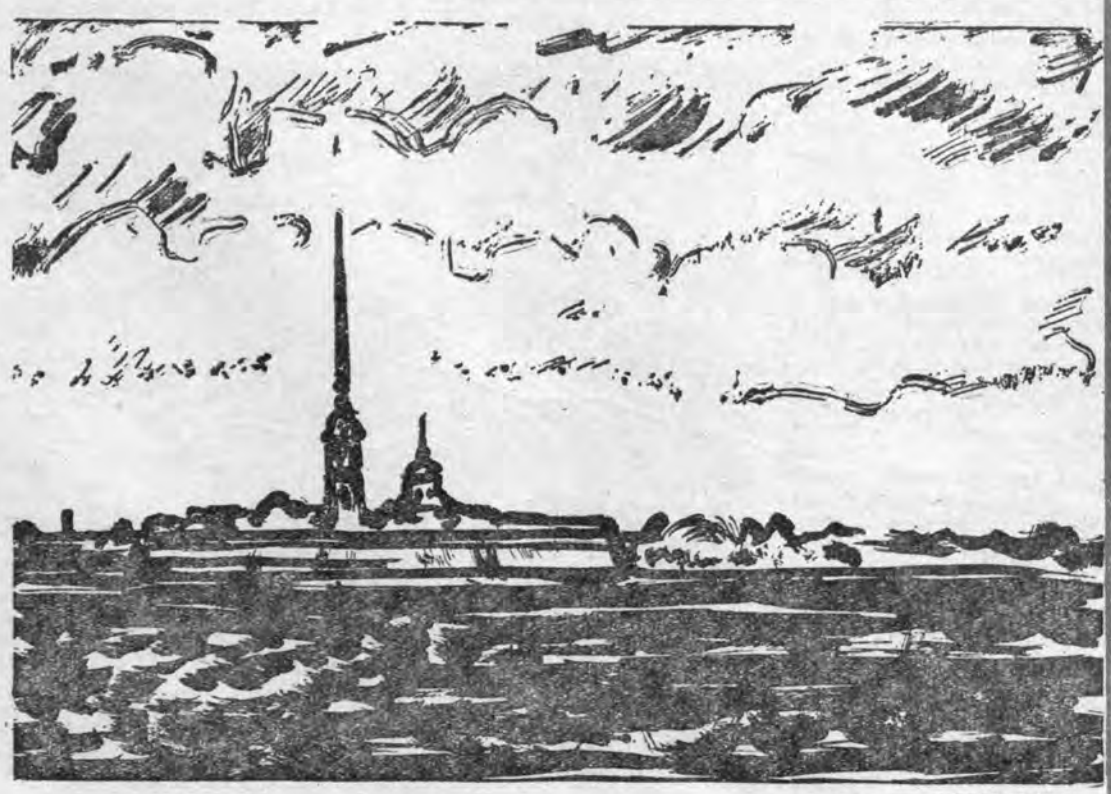

Rys. E. KIEFERLING

Jej przygoda z radziecką piosenką

KRYSTYNA JUREK — utalentowana piosenkarka z Międzyspółdzielnianego Ośrodka Kulturalno - Oświatowego w Przemyślu.

Łowiła dźwięki kremlowskich kurantów. Spacerowała po wilgotnym od październikowego deszczu Czerwonym Placu. Stała w nieprzebranym tłumie ludzi cierpliwie czekających na wejście do Leninowskiego mauzoleum. Podziwiała skarby Tretiakowskiej Galerii. Olśniła ją też panorama wielkiej bitwy pod Borodino. Oklaskiwała radzieckich mistrzów baletu. Odwiedziła kremlowski Pałac Zjazdów. Kupiła w GUM-ie śliczną laleczkę. Kolorowe pocztówki z pozdrowieniami. Barwne okładki długogrających płyt. „Śpiewa Muslim Magomajew". „Drużba i Edyta Piecha". W środę strzelił korek z pękatej butelki perlistego szampana. Wywiad dla radia moskiewskiego. Przed mikrofonem — Krystyna Jurek — polska piosenkarka.... Pierwszy raz w Moskwie?... Tak, nie byłam tu jeszcze nigdy... Wrażenia?.... Wspaniałe. Jestem wprost oczarowana... Ulubiona piosenka radziecka?... „Białym śniegiem"... Ulubieni kompozytorzy?... Babadżanian, Eszpaj i Felcman... Piosenkarze — faworyci?... Piecha i Magomajew... Dlaczego śpiewam piosenki radzieckie? Są takie melodyjne, pełne nastroju i uczucia, łatwo wpadają w ucho. I w serce... Tak, chciałabym bardzo jeszcze kiedyś posłuchać wieczorem kremlowskich kurantów... Żegnaj, piękna Moskwo! Do swidania! Do zobaczenia!...

Śliczną lalką z moskiewskiego GUM-u bawi się teraz pięcioletnia Marzenka w małym pokoiku na przemyskiej ulicy Puszkina. Na adapterowym talerzu kręci się czarny krąg radzieckiego long pleja z przebojami Edyty Piechy.

Słowa i nuty jej piosenek znaleźć można w przywiezionym z Moskwy zbiorku najpopularniejszych melodii radzieckich. Którą z nich wybrać? — zastanawia się matka Marzenki — młoda przemyska pielęgniarka i piosenkarka — Krystyna Jurek. To właśnie dla niej laur zwycięzcy tegorocznych wojewódzkich eliminacji Konkursu Piosenkarzy Amatorów Wykonawców Piosenki Radzieckiej stał się przepustką do Inowrocławia na ogólnopolskie spotkanie laureatów konkursu, później — do Zielonej Góry na Festiwal Piosenki Radzieckiej, a następnie — do Moskwy na tygodniową wycieczkę, z której pełna wrażeń powróciła w ostatni dzień października.

Już tylko wspomnienia... Spotkanie w Związku Kompozytorów ZSRR przy ulicy Nieżdanowej. 20-osobową grupę polskich piosenkarzy — uczestników wycieczki ufundowanej w nagrodę przez Zarząd Główny Towarzystwa Przyjaźni Polsko - Radzieckiej — podejmowali lampką szampana popularni kompozytorzy: Felcman, Eszpaj, Bogusławski i inni. Nie zabrakło przedstawicieli radia, prasy i telewizji. Bardzo miło było. A na pożegnanie wszyscy zaśpiewali chórem — „Srebrne wesele"...

Moskiewska eskapada — to dla rozśpiewanej przemyślanki Krystyny Jurek jeden z niezapomnianych epizodów w jej dotychczasowej przyjemnej przygodzie z radziecką piosenką. Piosenką pełną niepowtarzalnego czaru i uroku. Której słuchamy zawsze z przyjemnością. Gdy śpiewa Edyta, Muslim i.... Krystyna. Albo, gdy nuci ją mała Marzenka, bawiąc się laleczką z moskiewskiego GUM-u.

M. NYCZEK

Hubert Romer

Poszukiwanie kultury

(artykuł dyskusyjny)

Mury uczelni naszego miasta zaroiły się znowu młodymi ludźmi. Mamy cztery szkoły wyższe, a liczba pobierających na nich naukę osiąga liczbę około czterech tysięcy. Szkoda tylko, że wzrost statystyczny nie powoduje wprost proporcjonalnego oddziaływania społeczności akademickiej na mieszkańców Rzeszowa.

Gdzie należy szukać przyczyn tego zjawiska?

Prawdą jest, że jesteśmy bardzo młodym ośrodkiem nauki, brak nam tradycji i wzorów dopiero się rozwijamy i wiele mamy do zrobienia. Ale nie to tylko jest przyczyną tej sennej atmosferki. Przyczyny są inne i zapewne głębsze.

Na studia do Rzeszowa przychodzi młodzież z różnych środowisk, a przeważają mieszkańcy wsi i małych miasteczek naszego województwa. Młodzież zdająca maturę nie zawsze zostaje przygotowana do udziału i korzystania z dóbr kultury. Częs to wymagania artystyczne są niewielkie. Wielu rozpoczynających studia nie odczuwa potrzeby pójścia do teatru, na koncert symfoniczny, czy poznania arcydzieła filmowego. Różne są tego przyczyny, niezrozumienie sztuki, brak przygotowania do jej odbioru.

Trzeba więc ukulturalnić środowisko.

Uczelnie podjęły już taką akcję, ale wciąż spotyka się ona z niechęcią. Udział w odczycie, koncercie symfonicznym, czy spektaklu teatralnym to dopust boży wymyślony po to, by zabrać cenny czas uczących się.

Nie obrażę chyba nikogo stwierdzeniem, że najczęstszą formą obcowania ze sztuką, są dla rzeszowskich studentów koncerty big-beatowe lub udział w zabawach tanecznych. Przykłady można mnożyć. Kiedy w klubie „Odmieniec" gościli „Trubadurzy" wszyscy pchali się drzwiami i oknami, kiedy zaś zaproszono zespół kameralny, w koncercie uczestniczyło sześć osób (członkowie Rady Klubu). Inny przykład. Spółdzielnia „Żaczek" organizuje dla swoich pracowników wyjazdy na imprezy artystyczne. Efekt jest taki jak w poprzednim wypadku. Bilety na big-beat znikają w ciągu dziesięciu minut, kiedy zaś kierownictwo zainicjuje np. wyjazd do teatru, chętnych można policzyć na palcach jednej ręki. Nie twierdzę, że big-beat trzeba zwalczać, chcę tylko powiedzieć, trochę to za mało jak na przyszłą inteligencję.

Wiele inicjatyw czynnego udziału w życiu kulturalnym miasta podejmowanych przez grupę studentów spotyka się z ironią, szyderstwem, obojętnością czy krytyką ogółu. Tworzy się więc swoisty paradoks. Studenci narzekają na brak naprawdę akademickiej atmosfery w mieście, sami nie chcą zabrać się do pracy, wyśmiewają zaś poczynania innych. Poproszeni zaś o współudział tłumaczą się brakiem czasu, nauką, kolokwiami. Prawdą jest, że czasu nie ma za wiele, ale... wystarczy wejść do domu akademickiego w sobotni lub niedzielny wieczór.

Jakie podjąć kroki zaradcze, co robić, by ten stan uległ poprawie?

Wszystko zależy od dobrej woli środowiska akademickiego. Władze partyjne i miejskie na pewno pomogą, ale inicjatywa musi wyjść od studentów.

Mimo atmosfery, jaka panuje w przeważającej części akademickiego środowiska, pewna grupa młodzieży czynnie interesuje się kulturą.

Akademicy uczestniczą w życiu teatralnym miasta, można ich spotkać na odczytach i prelekcjach. Członkowie DKF to w 60 proc. studenci. Niektórzy pracują w zespołach WDK lub np. zakładów pracy. Kilka osób między innymi Teresa Roman i Anna Rychlik z WSP prowadzą zespoły artystyczne w szkołach średnich i zawodowych.

Powstają także zespoły studenckie.

Wszyscy doskonale znamy „Meluzynę", zespół ten w większości składa się ze studentów rzeszowskich uczelni. Pierwsi rozpoczęli samodzielną pracę artystyczną i postawą swoją mobilizowali innych. Ich programy, inscenizacje poetyckie i dramatyczne przejdą do historii studenckiego ruchu kulturalnego Rzeszowa.

„Odmieńcy", „Dysonansi", „Rybałci" — to zespoły mocnego uderzenia. „Odmieńcy", oprócz działalności artystycznej w klubie WSP, prezentowali środowisko akademickie na imprezach dla społeczeństwa naszego miasta. Brali także udział w VII Festiwalu Piosenki Studenckiej w Krakowie. „Rybałci" kolejny zespół big-beatowy WSP w składzie: A. Kopf, A. Sasa, J. Cywicki, W. Tarczyński, był nie tylko wizytówkę uczelni, ale także Rzeszowa. Występował w programie III Polskiego Radia, prezentował nasze miasto na turnieju telewizyjnym „My 69".

Skoro jesteśmy przy muzyce to warto przypomnieć sukces Jadwigi Marzec, która na Studenckiej Giełdzie Piosenki w Opolu otrzymała wyróżnienie Towarzystwa Rozwoju Ziem Zachodnich. Piosenka była napisana przez dwu naszych twórców, wtedy jeszcze studentów A. Kopfa i S. Domagałę.

Warto zwrócić uwagę na zespół kameralny, powstały przy WSP prowadzony przez kol. Knapa i Liszcza. Lansują piosenkę poetycką, literacką i studencką. Kompozycje oparte są na tekstach Baczyńskiego, Gajcego, Gałczyńskiego. Może wreszcie będziemy mieć zespół muzyczny z prawdziwego zdarzenia.

Powoli rodzi się teatr studencki. Obserwowaliśmy poczynania miłośników Melpomeny. Meluzyna dała kilka udanych inscenizacji. Studium Nauczycielskie zorganizowało „Scenę polityczną", powstał teatrzyk, obecnie kabaret „Et cetera", grupa „U Bram" wystawiła „Wielką miłość" St. Grochowiaka w reżyserii Wł. Czachary. Słyszeliśmy o inscenizacji „Czarnych kwiatów" Norwida, której dokonał A. Żmuda i St. Pawlik. Było wreszcie sporo prób, które kończyły się fiaskiem. Wreszcie w czasie zakończenia roku akademickiego 1968/69 zobaczyliśmy

Emilian Bliźniak

Marcin Kromer

Są dwa miasta w Polsce, które uważają znakomitego uczonego i pisarza z drugiej połowy XVI wieku Marcina Kromera za swego: Biecz i Lidzbark Warmiński. Oczywiście oba mają ku temu w pełni uzasadnione prawo. Biecz jest miastem rodzinnym Kromera, o którym zawsze pamiętał i z którym utrzymywał żywe kontakty przez całe swoje życie. W Lidzbarku zaś mieszkał Kromer w latach 1579—1589 po otrzymaniu nominacji na biskupa warmińskiego, zapisując się chlubnie w historii tego miasta i ziemi warmińskiej. Pamiętają zatem do dziś mieszkańcy Lidzbarka i całej Warmii o Kromerze, a świadczy o tym chociażby fakt, że na jego cześć, jak również innych, sławnych mężów warmińskich: Dantyszka, Kopernika i Krasickiego, Wojewódzka Rada Narodowa w Olsztynie wybiła pamiątkowy medal. Chlubią się Kromerem również i bieczanie, w ich mieście przecież się urodził, tu spędził dzieciństwo, o rodzinnym Bieczu nie zapomniał nigdy. Z dumą pokazują mieszkańcy Biecza, każdemu kto przyjedzie do ich miasta dom, w którym urodził się Marcin Kromer. Dzisiaj, w tzw. „Kromerówce" znajduje się muzeum poświęcone pamięci Kromera. Kierownikiem i opiekunem muzeum jest wielki miłośnik zabytków Biecza i jego wielowiekowej historii dr Tadeusz Ślawski. Wcale się nie dziwię, duma mieszkańców Biecza jest w pełni uzasadniona. Jest tu być może trochę patriotyzmu lokalnego, co jest czymś zupełnie naturalnym, ale jest tu również sporo zabytków, których pozazdrościć może Bieczowi niejedno miasto. Był przecież okres w historii miasta, kiedy to Biecz nazywano nawet małym Krakowem — parva Cracovia.

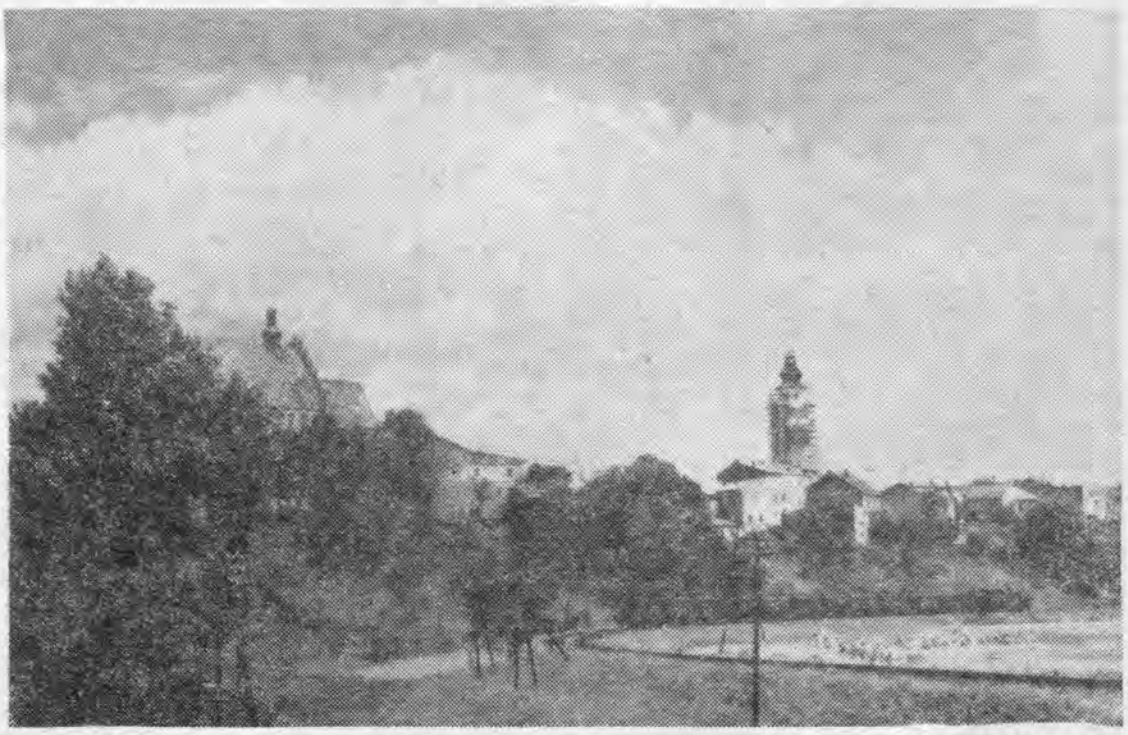

BIECZ *Fot. T. SLAWSKI*

studenckiej

„Antygonę" Sofoklesa. Reżyser, aktor Teatru im. W. Siemaszkowej p. Mroczek potrafił zebrać doskonały kolektyw i rozpalić entuzjazm młodzieży. Zespół otrzymał wiele pochwał i jako nagrodę Puchar Rektora. Studenci pokazali na co ich stać, jeśli serio potraktują swoją pracę. Odniesiony sukces zdopingował ich do dalszej pracy. Powstała myśl, aby założyć stały teatr studencki w Rzeszowie. Projekt spotkał się z uznaniem władz uczelni i społeczeństwa. Obecnie trwa praca organizacyjna. Zespół chce wznowić „Antygonę", by zaprezentować ją uczniom szkół średnich. W przygotowaniu są dwie kolejne pozycje sceniczne. Obecnie reżyserem zespołu jest p. Stanisław Jachowicz, także aktor naszego teatru. Warto wymienić najaktywniejszych członków zespołu, są to studenci H. Młynarska, A. Zając, J. Knap, A. Żmuda, J. Stachiewicz, A. Pieczonka. Zespół jest co prawda dość liczny, zaprasza jednak do swojego grona wszystkich kolegów chcących pracować na scenie.

Równolegle członkowie klubu „Odmieniec" pracują nad założeniem dwu zespołów estradowego i folklorystycznego. W ostatnim wypadku istnieją trudności z instruktorem, sprawą kostiumów itd.

Projektów jest jak widzimy sporo. Najważniejsze, by nie rezygnować z nich na półmetku kiedy napotka się trudności. Środowisko akademickie Rzeszowa przyjęło z entuzjazmem ukazanie się jednodniówki „Prometej".

Wydanie nastąpiło z inicjatywy „Studenckiego Koła Literackiego", któremu prezesuje Józef Węgrzyn. Koło jest młode, powstało bowiem przed czterema miesiącami, jest jednak niezwykle prężne. Dlatego może poszczycić się sporymi osiągnięciami. Jego członkowie opracowali monografię „Stali" Rzeszów, a obecnie rozpoczęli zbieranie materiału do monografii ruchu młodzieżowego na Rzeszowszczyźnie. W czasie wakacji zorganizowali na obozach młodzieżowych prelekcje, na których omawiano problemy literatury i sztuki. Ponadto prowadzili nieodpłatne korepetycje z języków obcych, za które poszczególne organizacje młodzieżowe przyznały Kołu puchary. Wreszcie staraniem wszystkich członków wydano jednodniówkę „Prometeja". Przedsięwzięcie sfinansowała RU WSP, udzielająca Kołu poparcia tak moralnego, jak i materialnego. Wymienić tu należy St. Nowickiego, przewodniczącego RU i przyjaciela „prometejczyków".

Statut Koła przewiduje organizowanie działalności społecznej, kulturalnej i politycznej. Kontynuowanie prób literackich i publicystycznych, organizowanie odczytów, prelekcji, wystaw. Jego członkowie chcą objąć opieką wszystkie formy działalności artystycznej środowiska, udzielać im pomocy i pomagać w działaniu. Chcą zająć się wszystkimi sprawami nurtującymi środowisko akademickie, pragną je uaktywnić i zmobilizować do działania.

Przejdźmy do „Prometeja". W zamyśle członków Koła ma to być środek oddziaływania na środowisko. Prometejczycy nie zamierzają poprzestać na wydaniu jednego numeru. W przygotowaniu są następne jednodniówki. Inicjatywa spotkała się z aprobatą władz partyjnych, uczelnianych i działaczy ZSP. Wszyscy twierdzą, że pismo jest pożądane. Studenci Koła są pełni zapału i nie jest to ogień słomiany. Świadczy o tym praca, jakiej już dokonali.

Podsumowując moje wywody mogę śmiało stwierdzić, że istnieją konkretne możliwości, aby nasze miasto stało się ośrodkiem akademickim z prawdziwego zdarzenia. Istnieje sposób, aby rozbudzić środowisko rzeszowskich żaków, zwiększyć udział studentów w życiu kulturalnym Rzeszowa i nie tylko w formie konsumpcyjnej, ale także w działalności kulturotwórczej. Środowisko to potrzebuje jednak zrozumienia i dobrej woli współtowarzyszy. Dla wszystkich zaś tych, którzy chcieliby powiększyć ich grono, Koło Literackie jest otwarte.

Fot. M. KOPEC

II Jarmark Pieśni i Tańca

Mieleckie spotkanie zespołów ludowych i robotniczych, wdzięcznie nazywane Rzeszowski Jarmark Pieśni i Tańca — zakończono w ub. roku postanowieniem organizowania podobnych imprez co pewien okres. Tego typu spotkania artystów w roboczych kombinezonach, mogą bowiem stać się pożytecznym forum wymiany repertuaru, metod pracy, poszukiwania nowych, bardziej atrakcyjnych form działania, przeglądem dorobku, miejscem zacieśnienia kontaktów różnego typu zespołów amatorskich, działających w zakładach przemysłowych, kopalniach, hutach, domach kultury i klubach zakładowych.

I oto, 7 bm., w Mielcu rozpoczął się II Rzeszowski Jarmark Pieśni i Tańca, w którym biorą udział zespoły folklorystyczne Rzeszowszczyzny oraz artyści ludowi i robotnicze zespoły pieśni i tańca z różnych stron kraju. Trwać będzie on do niedzieli wieczorem.

Amatorom towarzyszą niespełna dwie setki instruktorów, działaczy ruchu amatorskiego i znawców folkloru z całej Polski. Dni Jarmarku będą dla nich bardzo pracowitym okresem, gdyż przybyli, aby przedyskutować ważki problem nurtujący ruch amatorski zresztą nie od dziś — rolę folkloru we współczesnej kulturze. Tematyce tej poświęcona jest właśnie konferencja, która potrwa także 3 dni. Wybrane problemy omawiać będą takie znakomitości naukowe, jak. prof. dr Józef Burszta, dr Adolf Dygacz, dr Zofia Nożyńska i dr Bogusław Linette. Dawne obrzędy ludowe na Rzeszowszczyźnie omówi mgr Kazimierz Wołos. Część teoretyczną uzupełnią pokazy obrzędów ludowych. popisy wokalistów i instrumentalistów oraz gawędziarze. Każdy dzień Jarmarku zamknie koncert w sali widowiskowej Zakładowego Domu Kultury lub hali sportowej.

Impreza otrzymała też piękną oprawę w postaci czterech interesujących wystaw: „Polski kostium i tkaniny ludowe" to ekspozycja ze zbiorów Państwowego Muzeum Etnograficznego w Warszawie. Muzeum Okręgowe w Rzeszowie patronuje ekspozycji pn. „Opieka państwa nad sztuką ludową w Rzeszowskiem". Artystki ludowe z Bobowej wystawiają zbiór swych bajecznych koronek,

* * *

Impreza przygotowana z rozmachem i prawdziwie polskim, szerokim gestem! Słusznie, że właśnie tak, bowiem nigdy dotąd sztuka ludowa i ruch amatorski nie rozwijały się tak piękne, jak w ostatnich latach, jak dziś, a mieleckie święto jest przecież pokłonem tancerzy i śpiewaków — artystów amatorów dla Polski Ludowej w dniach jej 25 urodzin.

II Jarmark Pieśni i Tańca zorganizował Wojewódzki Dom Kultury w Rzeszowie wespół z Zakładowym Domem Kultury w Mielcu, działając pod patronatem Centralnej Rady Związków Zawodowych. M. C. G.

Biecz dawniej i dzisiaj

To jedno z najstarszych miast na Podkarpaciu, położone w dawnych wiekach na bardzo ważnym szlaku handlowym, prowadzącym w kierunku Węgier, należało dość długo do ważnych ośrodków życia gospodarczego ówczesnej Polski (rzemiosło, handel). Świetna, wieloletnia prosperita gospodarcza miasta, obok ogólnego bogactwa mieszczan, wyraziła się również we wzniesieniu szeregu wspaniałych budowli, które przetrwały do dzisiaj. Do najciekawszych należą: gotycka Fara, wybudowana jeszcze w pierwszej połowie XIV wieku, przebudowana potem częściowo w stylu barokowym, ratusz z dobudowaną do niego w XVI w. 50-metrową ośmioboczną, podzieloną na 6 pięter wieżą, zwaną „Katowską". Istniała tu w XVI i XVII wieku szkoła katów utworzona w związku ze zwalczaniem kwitnącego w okolicznych górach zbójnictwa zagrażającego ciągnącym traktem handlowym kupieckim karawanom.

Z innych zabytków zasługują jeszcze na wymienienie: barokowy klasztor i kościół Reformatów, Dom z Basztą i resztki obronnych murów, Dom zbója Becza, dawny szpital królowej Jadwigi, gdzie obecnie mieści się Liceum i internat oraz słynna „Kromerówka". Okres wspaniałego rozkwitu dawnego Biecza kończy się w zasadzie w XVIII wieku. Utrata dawnego znaczenia handlowego doprowadziła to kwitnące niegdyś miasto do upadku, z którego dźwignął się Biecz dopiero po II wojnie światowej, już w Polsce Ludowej. Dzięki pomocy państwa i wysiłkowi miejscowych działaczy, takich jak: dr Tadeusz Ślawski, Franciszek Głowacki, Roman Hasiak, Jan Szary i wielu, wielu innych, doprowadzono do ożywienia gospodarczego miasta poprzez wybudowanie i dalszą rozbudowę kilku spółdzielczych zakładów produkcyjnych. Wiele uwagi poświęcono wyglądowi samego miasta. Przystępując do konkursu „Mistrz gospodarności", na terenie Biecza wykonano cały szereg prac związanych z wyglądem, estetyką i funkcjonalnością urządzeń komunalnych, przy czym należy tu podkreślić duży wkład mieszkańców miasta w formie czynów społecznych, których wysokość wyraża się w niebagatelnej kwocie 714 tysięcy złotych. Szczególną troską otaczają działacze i ojcowie miasta zabytki historyczne Biecza. Prowadzone od pięciu lat prace konserwacyjne i rekonstrukcyjne pozwolą przywrócić im dawny wygląd, co podniesie niewątpliwie w dużym stopniu walory turystyczne miasta, zwłaszcza, że Biecz leży na szlaku turystycznym.

Życie, działalność i twórczość Kromera

Wszystkie wycieczki rozpoczynają zwiedzanie miasta i jego zabytków najczęściej od wspomnianej już wyżej „Kromerówki".

W tym to niskim, jednopiętrowym domu do złudzenia przypominającym średniowieczne kamieniczki przy ulicy Kanonicznej w Krakowie, urodził się w zamożnej rodzinie mieszańskiej w 1512 roku Marcin Kromer.

W Bieczu przebywał Kromer do 1528 roku, tu pod troskliwym okiem matki odebrał staranne wychowanie i w miarę możliwości wykształcenie tak, że już jako 16-letni chłopiec mógł się zapisać na słynną w owym czasie Akademię Krakowską, w której po dwuletnich studiach otrzymał bakalaureat nauk wyzwolonych. Gruntowne studia humanistyczne, nieprzeciętne zdolności, biegłość pisania wierszy łacińskich i greckich zwróciły uwagę znanego humanisty Chojeńskiego, który umożliwił młodemu bakałarzowi prace w kancelarii królewskiej oraz dalsze studia w Italii.

Otwierało to w przyszłości Kromerowi karierę dyplomatyczną i kościelną. Studia prawnicze i humanistyczne u Alciaty i Romulusa Amaseusa w Padwie i Bolonii, a szczególnie pobyt w Rzymie ugruntowały jego zamiłowania do dawnej, antycznej kultury, a szczególnie historii. Zwiedzanie zabytków starożytnego Rzymu pozwoliło wykształcić przyszłemu historykowi umiejętności widzenia plastycznego przeszłości, co można zauważyć w jego historii Polski — „De origine et rebus gestis Polonorum". Po powrocie do kraju osiada Kromer ponownie w Krakowie. Tu jako kanonik kapituły krakowskiej z polecenia biskupa Maciejowskiego podejmuje energiczną akcję skierowaną przeciwko szerzącej się wówczas w Polsce reformacji. W toku tej działalności powstają dzieła polemiczne pisane barwnym, żywym językiem polskim, zebrane później w jedną całość, a znane nam, jako „Rozmowy dworzanina z mnichem". Kromer to nie tylko pisarz apologeta, ale również znakomity historyk i literat.

Jego kronika Polski „De origine et rebus gestis Polonorum", „Polonia" oraz „Historia prawdziwa o przygodzie księcia finlandzkiego Jana i królewny polskiej Katarzyny", stawiają Kromera w rzędzie czołowych przedstawicieli polskiej literatury historycznej i pięknej XVI wieku.

Kromer jako historyk

Z wymienionych już wyżej dzieł bez wątpienia najwybitniejszym jest „De origine et rebus gestis Polonorum". Wyostrzony zmysł obserwacyjny, doskonała znajomość ówczesnych stosunków wewnątrzpaństwowych, jak też i z państwami sąsiednimi, pozwoliły Kromerowi napisać doskonałą, jak na owe czasy historię ojczystych dziejów, pozostawiającą daleko w tyle kroniki: Galla, Kadłubka, Wapowskiego, Miechowity czy nawet Długosza. Napisana przepięknym językiem łacińskim, przełożona na język polski przez Błażowskiego, ukazała się drukiem w 1611 r., a więc wcześniej od kroniki Długosza (1614 r.).

Do niej to sięgał Kraszewski pisząc swoją „Starą baśń", podobnie Słowacki przy pisaniu „Króla Ducha". Z niej czerpał swoje historyczne wizje Wyspiański. W niej szukał argumentów Krzysztof Opaliński w walce przeciwko warcholskiej swawoli ziemiańskich posłów. Z podobną pasją historyczną i literacką jest napisane drugie znakomite dzieło Kromera „Polonia" — dzieło o ustroju Polski. Za obie te prace przyznano Kromerowi na Sejmie w 1580 roku pierwszą w Polsce nagrodę literacką. Nobilitacja otrzymana z rąk Zygmunta Augusta oraz nominacja na biskupa warmińskiego, to nagroda za pracowitość, prawość i zasługi położone dla ojczyzny.

Śmierć w 1589 roku przerwała jego niezmiernie pracowite życie. Za życia, mimo nawału pracy, zawsze pamiętał o rodzinnym Bieczu. Zaciągnięty u niego dług w wysokości 400 złotych przeznaczył na fundusz stypendialny fundując dla dwóch biednych studentów z Biecza stypendium przy Krakowskiej Akademii na okres piętnastu lat. A gdy fundusz w roku 1585 się wyczerpał w testamencie zapisał na stypendia dla bieczan przeszło 2 tys. złotych.

Nic więc dziwnego, że tak żywa jest pamięć w Bieczu o swym wielkim rodaku, z pietyzmem przechowywane są pamiątki po Kromerze w odrestaurowanej kosztem 1 mln 200 tys. zł dwa lata temu „Kromerówce".

EMILIAN BLIŹNIAK

Krystyna Świerczewska

FREDREUM

455 premier przez sto lat daje przeciętną około 5 rocznie; teatry wojewódzkie planują ich 8.

2 277 przedstawień przez sto lat — a więc około 23 rocznie uprawnia do tytułu, który nadał temu teatrowi Leon Kruczkowski w 1947 roku — stały, niezawodowy teatr. Mowa naturalnie o Fredreum i naturalnie z okazji jego stulecia, które tak uroczyście świętowali fredrowcy w ostatnim tygodniu października roku 1969.

Przetoczyły się po nim koła historii, poczynając od austriackiego zaboru, poprzez dwie wojny światowe, aż do ćwierćwiecza Polski Ludowej, a on obracając tę historię na własny pożytek, dalej grywa Fredrę i Zapolską, dalej „Romans z wodewilu", „Jadzię wdowę" czy „Królową przedmieścia", przetykając ten cykl komedii i śpiewogier Słowackim, Schillerem, Beaumarchais, Iwaszkiewiczem, Kruczkowskim. Jest trochę niesamowita ta różnorodność repertuaru, ta giętkość aktora-amatora, ta wiara, że wszystko jest do grania: od tragedii po komedię, od opery po operetkę, od rapsodu po wodewil. Ale w tym, co dla mnie niesamowite — też jest tradycja stuletnia; przecież już w 1879 r. był Fredro obok Labiche'a, w trzy lata później „Wdówka" panów Thiboust, Delacour oraz Siraudin i „Wieczór Mickiewiczowski", w 1900 — III akt „Strasznego dworu" i w antynomii z Moniuszką pozostający tytuł „Nie znoszę muzyki", nieznanego mi bliżej pana R. Gene, w 1912 Offenbacha „Dziewczę z Elizondu" i ów do dziś pamiętny pierwszy Wyspiański z „Weselem" i drugi Wyspiański z „Nocą listopadową", a później to już Słowacki z „Horsztyńskim", i „Pociąg widmo" Ridleya, „Odsiecz Wiednia" i „Fruwająca dziewica" w roku 1933, „Żeglarz" Szaniawskiego oraz „Ten i tamten" Kiedrzyńskiego, o której to sztuce Boy powiedział uprzejmie: „cała rzecz ma tę wadę, że jest nieciekawa".

Przeciekawą natomiast lekturą jest album wydany na stulecie Fredreum właśnie w tej jego części, w której drobiazgowy kronikarz pomieścił pieczołowicie odtworzony z historii repertuar; odnoszę wrażenie, że nie te ciepłe, urocze wspominki ludzi związanych z fredrowskim zamkiem, ale właśnie owe lakoniczne tytuły sztuk, nazwiska autorów oraz daty premier najżywiej mówią o historii Fredreum.

Są tam bowiem i lata pustawe, jak ów rok 1891, 1892, gdzie tylko zapisano dwie premiery, w tym ostatnim „Dzienniczek Justysi" — tu autora raczej nie trzeba wymieniać, bo w szkołach o nim głucho i „Damy i huzary" — gdzie znowu zanadto głośno; są lata pracowite, imponujące, wręcz szalone rozmachem, jak ów 1920 z 20 premierami, gdzie jest i Ibsen, i „Dziady", i Czechow, i Fredro, i Żeromski, ale gdzie nie zapomniano bynajmniej o „Wieczorze rozmaitości", o panu klasyku farsy — Andrè Hennequin i jest w następnym roku nawet tak osobliwa pozycja, jaką był na ów czas — tuż po premierze „Burmistrza Stylmondu" Maeterlincka — odczyt Boya-Żeleńskiego.

Oczywiście, że te dwie ostatnie wymienione daty — to już okres owej sławnej „legendy lorenzowskiej", kiedy świetność Fredreum wzniosła się ku szczytom, kiedy grywano przeciętnie po 20 sztuk rocznie, kiedy zjawił się jedyny Szekspir „Snem nocy letniej" w stuletnim repertuarze, kiedy jeden z inicjatorów działalności przemyskiego Towarzystwa Dramatycznego z 1910 roku — Edward Lorenz jest już po rezygnacji z wiceprokuratury królewsko-polskiego Sądu Apelacyjnego w Warszawie i z organizowania podstaw polskiego sądownictwa, nie przekonany o szczerości poczynań rządów zaborców i w październiku 1918 roku wraca do Przemyśla na 4 lata, by oddać się drugiej pasji swego życia — teatrowi.

> **Próby prowadzone przez niego były przyjemnością i bez specjalnych „zachęcań" odbywały się punktualnie, przy kompletach. Co to znaczy dla teatru amatorskiego, potrafi zrozumieć tylko ten, kto choćby raz czekał na niesumiennego kolegę...**
>
> **Zygmunt Felczyński**

W ciągu 13 lat pobytu, przerywanego wyjazdami, bądź awansami, z których rezygnował, Lorenz zdążył reżyserować 37 przedstawień i zagrać 19 ról we Fredreum. Myślę, że to tylko już Juliusz Styfi po nim był zdolny przejąć pałeczkę człowieka zauroczonego teatrem w latach 1927-1936 i wystawić we Fredreum 30 sztuk, a w wielu w dodatku wziąć udział samemu jako aktor. Bo w 1936:

> **Trudności ekonomiczne zmuszają Styfiego do porzucenia Przemyśla... Kochany przez wszystkich Julek wyjeżdża do Warszawy, gdzie obejmuje kierownictwo techniczne Głównej Drukarni Wojskowej... W czasie powstania warszawskiego traci cały dorobek swego życia... Po wyzwoleniu oddaje swoją wiedzę fachową na usługi Polsce Ludowej. Obejmuje kierownictwo uruchamianej przez siebie Państwowej Drukarni nr 4... Zmarł w Krakowie 25 grudnia 1964 na zawał serca. Śmierć jego wywołała zrozumiały żal — Pozostał w pamięci fredrowców jako „Julek" wielkiej klasy aktor-amator i prezes...**

Jest dużo tych, co odeszli, ale przedtem zdążyli zapisać się talentem, i tych, co pozostali w pamięci i są do dziś na scenach kraju. Wystarczy wymienić Zofię Chwojkowską, Stefana Hnydzińskiego, Leliwę Karpińskiego, Józefa i Tadeusza Kondratów, Barbarę Kostrzewską, Władysława Królikiewicza, Marię Nieduszyńską - Mrowińską, niezrównanego Kazimierza Opalińskiego i Kazimierę Złotnicką.

> **Na miejscu dzisiejszego uplasowania się „Zieleniaka" vis a vis ogrodu PPRN w okresie 1 wojny światowej była słynna ze świetnych wyrobów cukiernia. Stałymi gośćmi cukierni byli członkowie Fredreum, przy kawie i ciastkach omawiający aktualne potrzeby swojej sceny.**

> **Uczestniczył w tych debatach sympatyczny właściciel tej cukierni Józef Karpiński, któremu w końcu zaproponowano udział w przygotowującej się premierze. Ofertę przyjął bardzo skwapliwie...**
>
> **W 1921 roku sprzedał cukiernię i przeniósł się do Poznania, gdzie przyjął angaż do miejscowego teatru. Wkrótce zdobył sławę jako świetny komik i reżyser. Po latach przeniósł się do Lwowa i świecił triumfy na scenie Teatru Wielkiego...**
>
> **...Postanowiono więc zaprosić go na gościnne występy w sztuce „Gdzie diabeł nie może"... Ostateczny termin miał być ustalony z początkiem września. Na przeszkodzie nie do przebycia stanął 1 wrzesień 1939 rok.**
>
> **Stanisław Frankowski**
>
> **Barbara Kostrzewska w wielu wywiadach prasowych stale później podkreślała, że swoje sceniczne wyrobienie zawdzięcza Fredreum, gdzie stawiała pierwsze kroki.**
>
> **Stanisław Frankowski**
>
> **A pani Hanna Małkowską może i dzisiaj powtórzyłaby słowa, które tylekroć wypowiadała do mnie: w Przemyślu jest jedno zaczarowane miejsce. Między dwiema basztami: na zamku.**
>
> **Jan Wojciechowski**

Bo pani Hanna Małkowska, dziś dziekan PWSTiF w Łodzi była pierwszą reprezentantką władzy ludowej i jej przyszłego Ministerstwa Kultury i Sztuki, kiedy w sierpniu 1944 r. wraz z mężem od lubelskiego rządu dostali kukuruźnik, by jak najszybciej dotrzeć do Przemyśla i zorganizować na historycznych podporach 75-letniego Fredreum pierwsze w Polsce Ludowej Studium Dramatyczne. Do dziś ostał się afisz, który głosił: w dniu 28 października 1944, co następuje:

„Wydział Kultury i Sztuki przy PKWN w Lublinie polecił zarządowi Fredreum zorganizować w Przemyślu Studium Dramatyczne pod kierownictwem Hanny Małkowskiej.

Program obejmuje: dykcję, deklamację, grę sceniczną, kostiumologię, charakteryzację, technikę aktora, umuzykalnienie, historię teatru, historię dramatyczną.

Ze względu na stosunki spowodowane wojną kierownictwo Studium Dramatycznego nie stawia specjalnych wymogów pod względem cenzusu naukowego jako warunku przyjęcia.

...Wykłady i zajęcia rozpoczną się 10 listopada. Nauka płatna. Szczególnie uzdolnionym — stypendium z Wydziału Kultury i Sztuki...

Tak się zaczęło ostatnie ćwierćwiecze Fredreum, a już 18 sierpnia 1945, czyli w 9 miesięcy później zachował się afisz z powtórzenia „Popisu Studium Dramatycznego", gdzie i Słowacki, i Fredro, i Wyspiański, i Szekspir — użyczyli swoje nazwisko pod pośpieszne ujawnianie talentów przemyskich studentów — pierwszych aktorów teatralnej szkoły w Polsce Ludowej.

Na pierwszym zaś afiszu występu fredrowców w 1944 r. widnieje nazwisko jednej z ostatnich premier roku 1938 — „Gdzie diabeł nie może" Romana Niewiarowicza i tym to wznowieniem, które po wojnie zapewne musi być uznane za regularną premierę, bo losy aktorów po świecie rozproszyły, przerzedziły — zaczyna się 16 września 1944 r. to ostatnie ćwierćwiecze, które najłatwiej prześledzić, bo najświeższe i które też najdobitniej świadczy o przemianach, jakie dotarły do świadomości przemyskich fredrowców.

A więc znowu rozumieją, że nastała era głodu na polską komedię: grają więc Fredrę dużo i często; ba, dają swoisty cykl komedii polskiej, w którym pojawia się i Bałucki, i Bliziński, i Zapolska. Znowu sięgają po śpiewogrę, wystawiając pierwszą w wolnej Polsce operę Franciszka Kurpińskiego „Zamek na Czorsztynie", znów sięgają po operetkę i wodewile: po wojnie dostrzegamy ich sporo — a więc „Księżniczka czardasza", „Romans z wodewilu" (1950), „Ptasznik z Tyrolu", „Królowa przedmieścia" i znowu „Romans z wodewilu" (1964), wreszcie „Jadzia wdowa".

Co najmniej połowa sukcesów każdego teatru tkwi w jego repertuarze. Fredreum wybrało komedię, jako gatunek preferowany, odpowiadający aktorom i przemyskiej publiczności. I najtrudniejszy w historii inscenizacji teatralnej. Od komedii niedaleko do rewii i wodewilu — sądziło Fredreum nie tylko w przeszłości. Czasem sięgało po dramat, czując się w nim nieśmiało, żeby nie powiedzieć — nawet nieporadnie. A właśnie dzięki dramatowi, który przekreślał tę powódź operetek, rewietek, fars, który podnosił do rangi rzeczywistego teatru ich teatr — historia Fredreum musi być potraktowana poważnie. Kogóż dziś rozczulą panowie Labiche, Hennequin, czy Meilhac — któż dziś nie zaduma się nad wartością „Wesela", wystawionego w niecały dziesiątek lat po krakowskiej prapremierze? Któż dziś nie zapyta, dlaczego tylko jeden Szekspir w stuleciu — a aż dwa „Romanse z wodewilu" w dwudziestopięcioleciu? Któż nie uzna za sukces kilku spektakli Szaniawskiego w latach trzydziestych i tych 9 komedii Fredry do roku 1939, a już całego cyklu Fredry niemal w ostatnim ćwierćwieczu? Kogóż jednak nie zasmucą ciągoty w stronę podkasanej muzy, której „urok" polega na miałkości problemu, taniutkim dowcipku, amatorskich gierkach, a które tak wyraźnie obserwowano w działalności Fredreum w latach pięćdziesiątych? Zważywszy, że działa ten niezwykły teatr w dużym mieście, które się czuje silnie związane z fredrowcami, jego obowiązki przestają być obowiązkami pierwszego lepszego zespołu teatralnego, których w województwie multum, ale w dalszym ciągu spoczywa na nim rola pośrednika między coraz zwiększającym się popytem na obcowanie z mądrą literaturą i coraz doskonalszym en general teatrem polskim.

> **Przecież tym teatrem żyliśmy wszyscy. Tam uczyliśmy się słowa polskiego, literatury pięknej i co najważniejsze miłości ojczyzny.**
>
> **Józef Kondrat**

Fredreum stanowi do dziś gatunek teatru typowo aktorskiego, tego, który wykształcił wiek XIX, udoskonalił początek wieku XX, a przekreślił okres Polski Ludowej. Dziś, gdy reżyser bywa mózgiem spektaklu, a aktor wykonuje tylko jego zamysł (w nielicznych wypadkach wy-

Listy DO PRZYJACIELA

Wielce żałuję, Mój Drogi, że nie mogłam wznieść toastu za pomyślność Twoją i za dalsze Twoje awanse, ale w dniu, który obrałeś dla uczczenia tego miłego daru losu — wznosiłam toast na pół służbowo — na pół z sentymentu za innego, szacownego jubilata. Zawsze przy takich okazjach opada mnie wzruszenie, bo to i ludzie na ten czas stają się wylewniejsi i gastronomia staje na ogół — jeśli już nie na wysokości zadania — to przynajmniej wyżej nieco niż w codziennym podtruwaniu naszych żołądków, a przede wszystkim jubileuszowe rachunki sumienia jubilata napawają zbożnym podziwem, kiedy on to wszystko zdążył zdziałać, zważywszy, że znamy go na co dzień i jakoś niczym niezwykłym w tej działalności nie kłuł naszych krótkowzrocznych oczu. Toteż zwykle w takich okazjach rodzi się w nas pokorne zdumienie i cień rozgoryczenia na siebie samego, że tak niemrawo ta nasza działalność przebiega, iż nie sposób z niej wykroić jakikolwiek jubileusz własny, mimo że lata płyną i toasty za „lecia" innym się mnożą.

Ale bo też technika jubileuszy solidnie pobiegła naprzód od czasu sławnego wierszyka Boya, że bierze się do tego celu tęgiego, starego pryka i sadza się na fotelu, i siarczyście się go tyka. Dziś rzadko kiedy jubilat bywa tęgi i stary, gastronomie na ogół nie dysponują fotelami — a tykanie zaczyna się dopiero grubo po północy, kiedy sam jubilat odurzony długą listą własnych zasług, nie wytrzymuje, i byle komu szepcze w ucho: mów mi Kaziu! Któż by się oparł takiemu zaproszeniu!

Oczywiście rzecz nie jest pomyślana rozsądnie, bo z chwilą tego „Kazia", podnoszą łby wszyscy zawistni, którzy już nie mają w sobie ni skrawka miejsca na jubileuszowego indyka i pod soplicę, żubrówkę, pliskę, zaczynają prywatne roztrząsanie zasług jubilata, które kończy się zwykle tęgim niesmakiem oraz takimż katzem. Rankiem jubilat naturalnie wraca do godności. Nie ma mowy o żadnych „Kaziach"! Na tych, którzy naiwnie dali wiarę zaproszeniu do „mów mi Kaziu" patrzy jak na osobistych wrogów. Koleżanki, które gdzieś tam podszczypnął przy jubileuszowym stole omija szerokim łukiem; a nuż pomyślą, że erotoman! Wszystkich, którym poprzyrzekał awanse, poparcie — wysyła w delegację, żeby w kolejowych wagonach wytrzęśli z serc mrzonki i brednie! Przyjaciółmi są mu tego ranka tylko ci biedacy, dla których nie stało miejsca przy jubileuszowym półmisku...

Widzisz więc, Drogi, że może to i nie tak źle, iż tego toastu przy Twoim stole nie wzniosłam — a nuż by zamącił naszą przyjaźń?

Z drugiej strony, jakże nie świętować awansów, na które się

konuje ów zamysł genialnie, bądź przerasta wizję reżyserską) teatr usiłujący bazować na aktorstwie sam siebie popycha w cień, sam siebie dewaluuje. Zakładam, że będę dobrze zrozumiana: najpierw więc reżyser i scenograf — później partia równorzędna aktora, który bierze na siebie odpowiedzialność za dalsze losy spektaklu, opracowanego w szczegółach przez tamtą dwójkę, zanim zaczną się jakiekolwiek próby z aktorem.

Towarzystwo fredrowskie liczy około 180 członków czynnych i wspierających; z tego przynajmniej 6 dziesiątków para się teatrem. Są reżyserzy znani jeszcze sprzed wojny Przemysłowi; są nowi, którzy niedawno zaczęli swoją działalność. Właściwie mogę mówić o 3 spektaklach, które zdążyłam zobaczyć i to jeden z nich — „Zemstę" dwukrotnie, acz w odmiennych warunkach (raz w plenerze łańcuckiego dziedzińca), raz z mistrzem Kondratem i mistrzem Opalińskim, którą reżyserował Marian Stupnicki, o „Damach i huzarach" w reżyserii Karola Trygalskiego i Marii Dobrzyńskiej-Onuszkanicz, oraz o plenerowo wystawionej operze Fr. Kurpińskiego „Zamek na Czorsztynie" w reżyserii Ireny Genejowej i Danuty Kowalowej. Na operę, przyznam się szczerze, nie byłam przygotowana — wystawiono ją zresztą dla przypomnienia, że w 1945 r. była to pierwsza opera w Polsce Ludowej. We wszystkich jednak trzech spektaklach widziałam napierw aktorów — później myślałam o reżyserach. W śpiewogrze Kurpińskiego były świetne głosy, czysto, szlachetnie brzmiące, w „Zemście" świetny Rejent, świeża Klara, z rutyną, jak każe wiek — Podstolina, w „Damach i huzarach" paru aktorów obdarzonych niefałszowaną vis comica, a więc Grzegorz, a więc Major, dostrzegłam wdzięk Zosi, słyszałam piękną dykcję Orgonowej i właściwie dobrą robotę aktorską całego zespołu, który rozgrzewał Opaliński — Pleban. „Damy i huzary" miały zupełnie przyzwoite tempo, działały poprzez słowo arcypolskie, arcyzabawne i komizm sytuacyjny. A „Zemsta"? Do „Zemsty" mam poważniejsze pretensje, mimo brawurowej gry zespołu, który przy dwóch mistrzach stawał na wysokości zadania. Do „Zemsty" mam pretensję o scenografię, o paskudnie zasłanianą kotarami scenę, o owe malunki i papier-mache, o ów ckliwy sarmatyzm wreszcie, od którego zdążyły nas teatry dawno oduczyć. I słusznie! Bo cóż to za zabawa, kiedy tylko Opaliński, Kondrat i Sander są pieniaczami, bankrutami — a reszta na gwałt usiłuje nam wmówić, że uczestniczymy w obrazie, który znajdzie happy end, w którym finał jest zgodny z wolą nieba, a bynajmniej w tej woli nieba nie widzi się zabawy, dystansu, kpiny? Gdy Klara z Wacławem i Podstolina z Rejentem tworzą szczęśliwe quarto amoroso?

„Stały niezawodowy teatr", ogólnopolskie nagrody i stuletnia historia — to powód tyleż do dumy, co do zobowiązań. Piękny to teatr, który grać nie musząc, gra z powodzeniem; wręcz pali się do teatralnych działań. Piękny to teatr, który spełniał rolę ośrodka artystycznej myśli polskiej pod zaborami jeszcze, kiedy to Leopold Hauser tworzył swoje hauserowskie zespoły, przyjmowane dziś za początki Fredreum; piękny to teatr, który pierwszy po wojnie był gotów do działania i grywał w salach nieprzystosowanych do grania, własnoręcznie niemal adaptując zniszczony zamek do swoich potrzeb. Piękny to byłby teatr, gdyby zechciał pójść śladem poszukiwań, rozterek i niepokojów wszystkich teatrów polskich doby współczesnej oraz pamiętać o własnych sukcesach: że „Niemcy", „Mindowe", „Śmierć na gruszy", „Westerplatte" — to te przedstawienia, na które czeka widz, które grywał rekordową ilość razy; że kiedyś „Wesele", „Nora", „Noc Listopadowa", „Dziady", wzbogaciły jego historię. Gdyby pielęgnował tę niezaprzeczalnie zdolną grupę aktorską w harmonii z dobrym reżyserem i dobrym scenografem.

Bo przecież zdaje mi się, jest ten teatr na niepospolitej drodze, rzadkiej dziś drodze do ugruntowania własnych zasług, w zmianie tego zaszczytnego tytułu „stały, niezawodowy"...

A przyjaciele jego? Po jubileuszu ma mnóstwo przyjaciół, którzy się odezwali: jak choćby ów najbardziej milczący dotychczas Wydział Kultury WRN, na którego wniosek przyznano nagrodę za upowszechnienie kultury teatralnej Towarzystwu Fredrowskiemu w wysokości 50 tys. złotych. Jak choćby tysiące przemyślan wiernie akceptujących jego poczynania i obdarzających go mianem najromantyczniejszego teatru. Wdzięczna to nazwa, ale romantyzm czas odłożyć do historii, kiedy współczesność rozsadzają realne problemy. W dyskusji nad tymi problemami — teatr każdy widzę ogromnym sprzymierzeńcem. Cóż dopiero niezwykłe, stuletnie Fredreum?

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

Podpis pod zdjęcie:

Fredreum — W. Hugo — Angelo — tyran Padwy. Od lewej: Katarina Bragadini (M. Nogowa), Dafne (Cz. Haliszczak). 1967 rok.

„Człowiek — Świat — Polityka 1970"

(Ciąg dalszy ze str. 1)

ją fabryki i drogi, leczą ludzi, są doradcami rządów itp. Niektórzy z nich też imają się pióra. W rezultacie polski reportaż z obcych krajów i kontynentów jest dość imponujący, choć też zdarzają się niewypały.

A książki o Polsce Ludowej? Przede wszystkim jest ich za mało, wiele z nich grzeszy zbytnią ogólnikowością lub podejmowaniem spraw marginesowych. Dlaczego tak się dzieje? Czyżby najlepsze pióra urzeczone były zagranicą? A może trudniej pisać o społecznych problemach, np. zagłębia siarkowego, niż o buszu afrykańskim? Pytam, choć sam byłem o to wielokrotnie pytany. Do pewnych spraw szczegółowych jeszcze powrócę, a teraz parę słów na potwierdzenie, że jest o czym pisać. W ostatnich latach wydawcy, redakcje czasopism i różne organizacje ogłaszały pamiętnikarskie konkursy. Były więc konkursy na wspomnienie lekarzy, inżynierów czy młodzieży wiejskiej. Pomijając kapitalny materiał socjologiczny tą drogą zebrany, trzeba podkreślić, że konkursy te ujawniły również niejeden talent literacki. Powiedziałbym, że dzięki nim zrodził się swoisty dział literatury — literatura faktów. Opasłe tomiska tych wspomnień czyta się z dużym zainteresowaniem, bo są autentyczne, traktują o życiu, o ludziach. Rzecz w tym, że takich książek jest za mało.

A teraz wróćmy do przykładu, o którym wspomniałem na wstępie artykułu. Likwidacja „stref milczenia" nie nastąpiła w wyniku jednorazowej decyzji; bo pokutowały stare przyzwyczajenia, ale z czasem dyskusja stawała się pogłębiona, przemówili ludzie, oddano głos dokumentom. I tak jeśli chodzi o dwudziestolecie międzywojenne ukazało się sporo niezłych książek: monografii, wspomnień, zbiorów dokumentów, esejów i szkiców historycznych. Pewnie, historycy nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa, ale coś już jest. Gorzej z latami okupacji i okresem powstawania Polski Ludowej, co bynajmniej nie oznacza, że chcę powiedzieć, iż takich książek w ogóle nie ma i to książek dobrych, poczytnych, skłaniających do dyskusji. Nie ma jednak sensownie opracowanej historii PRL, brak jeszcze odpowiedzi na wiele istotnych pytań.

Problem ma dwa aspekty, obiektywny i subiektywny. Autor parający się najnowszą historią musi sięgnąć do dokumentów, z których wiele do archiwów jeszcze nie trafiło. Ba, nawet dokumenty z maja 1926 roku, znajdujące się w Londynie, są opieczętowane i opatrzone klauzulą, że można je otworzyć po 50 latach. Więc dopiero po roku 1976 poznamy wszystko o przewrocie Piłsudskiego. Nb. wymóg odczekania 50 lat jest w wielu krajach rygorystycznie przestrzegany. Bywa i tak, że wiele dokumentów dotyczących wydarzeń w czasie odleglejszym w ogóle nie trafia do rąk historyków, a bardzo wymownym tego potwierdzeniem (co podaję jako ciekawostkę) są kłopoty biografów naszej pani Walewskiej: po prostu jej potomkowie nie udostępniają posiadanych dokumentów.

Jeszcze trudniej pracować nad historią najnowszą. Lecz wielu

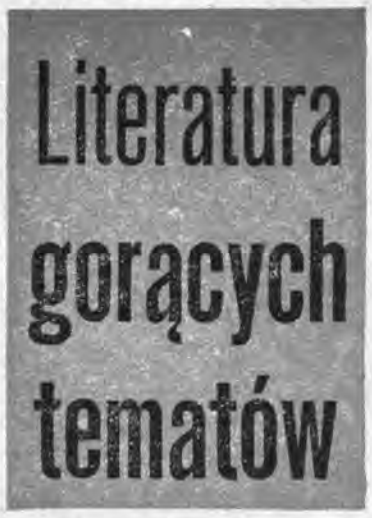

niedostatków nie można wytłumaczyć jedynie względami obiektywnymi. Mnie osobiście razi ton wielu publikacji: autorzy piszą niekiedy innym językiem, a mówią innym, przy czym bezwzględnie wolę ich ustne relacje: są żywe, autentyczne, odznaczają się walorami poznawczymi i dydaktycznymi. Jedni nie umieją pisać, innym wydaje się, że tak wypada pisać. „Pamiętnik matki" dlatego jest tak popularny, gdyż na jego stronicach M. Fornalska opisała życie swoje i bliskich jej ludzi.

Nie mamy monografii Polski Ludowej, ale o ilu wydarzeniach i ludziach związanych z jej powstawaniem po prostu się zapomina. Czasami wręcz mnie irytują anegdoty opowiadane o tych, którzy wówczas działali. Anegdota jest też formą przekazu historycznego, lecz jakże często w fałszywym świetle, bo jednostronnie, ukazywani są ludzie, podczas gdy zabawne dziś sceny miały wtedy zupełnie inne znaczenie. Myślę, że za mało popularyzuje się zjawiska, sprawy i ludzi z tamtych lat. Myślę, że to jest jedna z dróg prowadzących do powstawania monografii, gdyż ujęcia o charakterze syntetycznym powinny poprzedzić szczegółowe badania. Zazwyczaj pisze się o tym z okazji rocznic i wówczas takie publikacje mają charakter świąteczny, okolicznościowy, a jako takie nie zawsze odpowiedają wymogom, stawianym teraz literaturze społeczno-politycznej. Słowem, duże skrajności: albo spiż, albo przymrużenie oka, a to byli ludzie, którzy walczyli. Wielu z nich zginęło...

Miałem okazję rozmawiać na ten temat z tow. Władysławem Kruczkiem, który w wywiadzie dla „Profilów" powiedział m. in.:

„To były czasy walki (mowa o powstaniu Polski Ludowej — Z. K.), czasy rewolucji społecznej, rewolucji w świadomości ludzkiej. Mało spotkałem książek, które ukazałyby atmosferę tamtych dni. Tak, to prawda, że dużo uproszczeń, jednym z nich jest dzielenie ludzi na całkowicie reakcyjnych i całkowicie postępowych — jedni dobrzy bez reszty, drudzy bez żadnej zalety. Tak, jedynie nasza partia miała słuszny program i w okresie okupacji, i po wojnie, ale nie wolno mówić, że wszyscy, którzy byli poza naszymi szeregami nie chcieli Polski sprawiedliwej, ludowej, demokratycznej. Owszem, byli i tacy, co do nas strzelali, organizowali wrogie nam podziemie. Nie można też popadać w drugą skrajność, dostrzegać tylko same błędy, jakie w przeszłości popełniono wobec tych, którzy ulegli reakcji, przyjęli jej hasła za dobrą monetę.

Duża więc ciąży odpowiedzialność na historykach, wiele spraw wymaga pióra dobrego pisarza, który i historię zna, i przekonywająco, z zaangażowaniem o tym napisze".

Chodzi o to, by nie czekając na wielką monografię, na syntezę dziejów najnowszych, śmielej, szerzej sięgać po wydarzenia jednostkowe i przez nie popularyzować historię najnowszą. Zadanie to trudne. I pilne też. Sporo do powiedzenia mają tu ośrodki regionalne, badawcze i popularyzujące. Wydawcy powinni częściej sięgać po autorów z tzw. terenu.

Aby napisać książki o Polsce Ludowej trzeba albo podjąć wnikliwe badania, albo też na bieżąco śledzić życie, aktywnie w nim uczestniczyć. Gdy na ten temat rozmawiałem kiedyś z prezesem Wrońskim, usłyszałem znamienną, dającą wiele do myślenia wypowiedź. Stanisław Wroński, działacz społeczny i wydawca, jest też człowiekiem pióra; mówił, że ludzie pracując, odnoszą sukcesy, ale i błędy popełniają. Państwowotwórcza szkoła, szkoła budownictwa socjalizmu, nie jest wolna od błędów popełnianych przez jednostki i całe grupy ludzi. Tylko utopiści idealizują rzeczywistość albo też ukazują ją wyłącznie w czarnych kolorach. Dostrzeganie tylko błędów prowadzi do negacji, niedostrzeganie błędów rodzi szkodliwe samouspokojenie. Osiągnięcia minionego 25-lecia najlepiej widać przez pryzmat pokonanych trudności, przezwyciężonych błędów. By to wszystko ukazać nie wystarczy statystyka, trzeba znać życie, ludzi, prawdziwe problemy społeczne.

Wymagania czytelnika są teraz duże — chce mieć pogłębioną analizę zjawisk, pogłębiona analiza zjawisk wymaga ukazywania życia takim jakim ono jest, w całej jego złożoności. A tymczasem jak się chwali to bez umiarkowania, jeśli zaś gani, to w przysłowiowy czambuł. Pisać analitycznie jest trudniej, bo trzeba też ukazać niedostatki i błędy ludzi. To jest właśnie słabość współczesnego polskiego reportażu, słabość wielu książek traktujących o aktualnych sprawach Polski Ludowej. Powiedziałbym, że łatwiej jest pisać o egzotycznych krajach Trzeciego Świata niż np. o zagłębiu siarkowym czy innym regionie o przyśpieszonym rozwoju społecznym. Wydaje mi się, że wiele kwestii natury społeczno-politycznej kraju można podjąć właśnie przez pryzmat takich regionów. I znowu wracamy do znaczenia ośrodków regionalnych, ludzi z terenu. Stąd wniosek także dla wydawców, by rozszerzali kręgi autorów, poszukiwali ich wśród ludzi tkwiących w danym środowisku, znającym jego problemy.

Miałem pisać o wzrastającej popularności książki społeczno-politycznej, a zamiast tego powstał rejestr, zresztą dalece niepełny, postulatów i życzeń. Trzeba więc jeszcze zwrócić uwagę na inny aspekt zagadnienia. Ta literatura ma także kształtować, pobudzać zainteresowania ludzi. Dlatego winna być powszechnie dostępna. Zamiast rozważań na te tematy powiem, że ze zdziwieniem stwierdziłem, iż cena niektórych książek społeczno-politycznych wynosi 80—100 zł i to takich książek, po które musi sięgnąć np. nauczyciel. Wydawca na pewno udowodniłby mi swoją rację, ale cena 100 zł za książkę, która z uwagi na swoją treść powinna być szeroko upowszechniona, wydaje się oględnie mówiąc niezbyt przemyślana...

ZDZISŁAW KOZIOŁ

---

czekało lata całe, jak nie obchodzić „leci", jak nie pić pod nagrodę i wyróżnienie, pożegnania i powroty, pod udane projekty i pod ćwierćwiecze Polski Ludowej, która ma tak pomysłowych monopolistów, że postarali się nawet o jubileuszowy jarzębiak na winiaku z piękną rzymską XXV oraz wiele nam mówiącą datą 1944—1969. Prawda, że wódeczka ma także napisy obcojęzyczne, co by ją raczej kwalifikowało na produkt eksportowy. W takim razie liczy się zapewne na to, że jakiś mniej przychylny krajowy kapitalista ze zgniłego Zachodu, urządzając orgietkę, ma szanse oblać przy okazji nasze polskie ćwierćwiecze i w ten sposób dowiedzieć się o narodowym jubileuszu. Czy jednak nie sądzisz, że jest to propozycja typu „mów mi Kaziu" i że ktoś niepożądany może mnie, bądź Tobie przypadkiem pokaziować, gdy bynajmniej na to nie mamy ochoty?

Cenię wielce jubileuszową pomysłowość. Bo jak nie oceniać dobrych chęci, gdy wjeżdża przed nos jubilatowi wazon-straszydło, czy komplet szklanek z napisem „żebyś pamiętał"? Widziałam nawet realizację prywatnej nalewki na c.c.k., która była szczytem pomysłowości i celnej satyry znanego plastyka, ale została wręczona właśnie prywatnemu Kaziowi w dniu 4 marca. Nie widziałam jednak dotychczas obiektu tak szokującego jak ów jubileuszowy jarzębiak na winiaku, który bądź co bądź wręcza obywatelom na 25-lecie PRL Państwowy Monopol Spirytusowy za jedyne 113 złotych polskich.

Zastanawialiśmy się w dość dużym gronie, co począć z tą butelczyną nieopatrznie kupioną, bynajmniej nie z powodu jakiegokolwiek jubileuszu i doszliśmy do wniosku, że rzecz będzie polegała na toastach. Piliśmy przeto pod różne wydarzenia kulturalne z minionego ćwierćwiecza: pod projektowane wznowienie Wielkiej Encyklopedii Powszechnej, pod „Polską sztukę ludową", pod piękne „Arrasy wawelskie", pod konkursy chopinowskie, pod kilimy Gałkowskich, pod biżuterię Kobielskich, pod najciekawszy spektakl roku (tu toast był pity kilkakrotnie, bo zdań było wiele), pod Pendereckiego, który ambasadoruje muzyce polskiej za granicą i pod to wszystko, co na ćwierćwiecze kultury się złożyło. Gdyśmy skończyli jubileuszowy jarzębiak na winiaku, stwierdziliśmy, że w tak patriotycznym wieczorze żadne z nas dotychczas nie uczestniczyło. Toasty jednak zawsze w efekcie prowadzą do złośliwości! — Patriotycznie przeto zatoastowany przyjaciel, na zakończenie wieczoru, porwał ze stołu butelkę po jubileuszowym jarzębiaku na winiaku i obiecał ją osobiście dostarczyć na ręce prezesa komitetu antyalkoholowego. Czy to zrobił — doniosę Ci listem następnym.

Na razie zaś wznoszę toast za Twoje awanse, szczery, bo bezalkoholowy. Oby Ci się długo było na nowym stanowisku — tak długo przynajmniej, dopóki nie zapragniesz nowego!

Wtedy obowiązkowo przyjadę na jubileusz, a w międzyczasie mamy szansę na jakąś soplicę awansową, starkę służbową czy żubrówkę konferencyjną. Wyjmiesz wtedy szlachetny trunek, zapijemy najpierw kilka wydarzeń międzynarodowych, później krajowych, by w końcu przejść do życia intymno-prywatnego i w nim już pozostać. Potem wsiądę sobie w pociąg i wrócę do domu, a Ty będziesz samotnie uciszał koty tuptające po dywanie. Może to zajęcie i brak głównego świadka pod bokiem, ocali nasze miłe gawędy, które, oby, zasłużyły na jubileusz!

KRYSTYNA

Elektroniczny czardasz

W małym hotelowym pokoiku robiło się gorąco od dysputy. Zagrzewali się w niej Randia i Masio; do nich dołączali inni z argumentami „za i przeciw".

Mówi się o nich — ich dal woła. — Kusi las, bo w nim upływało życie od tysiąca lat, przez wieki wierzyli, że fatum przeznaczyło im nieustające koczowanie. Z miejsca na miejsce. „Roma" w ich języku wywodzącym się z sanskrytu — znaczy tyle co kasta wędrowna, lud koczowniczy... Opuścili więc swoją pierwszą ojczyznę — Indie, przemaszerowali Persję, Armenię, Grecję; rozproszyli się po całej Europie.

Masio — Sylwester Kwiek przywołuje przykłady, popiera je datami, cyframi. Skąd tak doskonała znajomość rzeczy?

— Widzi pani, niewiele wiedzielibyśmy o swoich dziejach. Cyganie nie gromadzą dokumentów, nie mają archiwów, toteż wydaje mi się, że rewelacją było ukazanie się monografii polskiego cyganologa — Jerzego Ficowskiego, który tyle ciekawych rzeczy wyszperał...

A tak wyszperał! Nie dziw, że lektura aż tak przykuła uwagę młodego Kwieka; wśród różnych szkiców w księdze, znajduje się również interesujący rozdział o długoletnich intrygach w królewskim rodzie... Kwieków. Do II wojny toczyły się boje o koronę. Do elekcji w 1937 roku na stadionie Wojska Polskiego w Warszawie stanęło z wielką pompą kilku Kwieków, a wybranego już nazajutrz zdetronizowano, uznając go za... samozwańca!

Potomek królów wcale po królewsku spędził dzieciństwo w lesie. Młody chłopak dzięki talentom muzycznym i piosenkarskim oderwał się od taboru, łącząc się z beatową grupą muzyczną, szybko zdobywając rozgłos. Podobnie, jak Michaj Burano odważył się przełamać ogólną niechęć do traktowania swej działalności jako czynności zawodowej, pozacygańskiej.

Relację przerywa Randia:

— Mając pozycję, pracę i wynagrodzenie za nią — to szaleństwo myśleć o włóczędze z taborem.

To Randia kilka lat temu poczyniła kroki uznania kobiety „równej mężczyźnie", wbrew starym obyczajom i niepisanym kodeksom cygańskim.

Na co dzień wprowadza w życie swoje poglądy; pracuje na równi z mężem — Edwardem Dębickim w „estradzie", godzi obowiązki matki, żony i piosenkarki, odkrytej na Festiwalu Piosenki w Opolu (1964).

I tacy chyba są wszyscy młodzi, racjonalnie rozumujący, utalentowani Cyganie z zawodowego zespołu artystycznego „Terno" („młodość") — z powodzeniem prosperującego od kilku lat pod auspicjami Estrady Ziemi Lubuskiej, mając na swoim koncie kilka koncertów zagranicznych.

Za sprawą Edwarda Dębickiego, zapalonego szperacza tekstów i melodii cygańskich, zespół dysponuje niezwykle ciekawymi zbiorami i stylizacjami, opartymi na motywach tej egzotycznej kultury ludowej. Zastanowić się można tylko czy zupełnie słuszne jest dążenie do transponowania urokliwego folkloru w sposób na wskroś nowoczesny? Poczciwe, o drewnianym pudle rezonowym gitary, zamieniono na płaskie, elektryczne; sznury i wzmacniacze, technika elektryczna, megafonia — nie obdziera wprawdzie z walorów dźwiękowych wszystkich żywiołowych czardaszy, melancholijnych i pełnych ekspresji, melodii cygańskich... ale oko trochę drażni. Bo chciałoby się oglądać tradycyjną kapelę cygańską. Toż chyba

CIĄG DALSZY NA STR. 8

Randia *Fot. G. WYSZOMIRSKA*

Pół wieku radzieckiego

W służbie humanistycznej

Tegoroczny przegląd radzieckiej twórczości filmowej, impreza kulturalna o dwudziestoletnich z górą tradycjach, ma szczególnie uroczysty charakter, jako że odbywa się pod hasłem pięćdziesiątej rocznicy powstania pierwszej na świecie socjalistycznej kinematografii. Gdyby trzymać się ściśle faktów — to kinematografia radziecka przekroczyła pięćdziesiątkę już przed dwoma czy trzema laty, pierwsze bowiem radzieckie filmy zjawiły się zaraz po rewolucji, czy nawet jeszcze wcześniej — w czasie jej trwania. Ale Lenin podpisał dekret o nacjonalizacji przemysłu filmowego w dniu 27 sierpnia roku 1919 i oficjalnie tę właśnie datę uważa się za narodziny radzieckiego kina.

W tegorocznym przeglądzie jest dziesięć filmów, które składają się na program dwóch jego etapów. Pierwszy to Festiwal Filmów Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, który trwał (od 21 do 30 X), drugi — Dni Filmu Radzieckiego (od 31 X do 9 XI).

Tak pomyślana impreza stanowi atrakcję dla widzów nie tylko zainteresowanych poszczególnymi filmami, ale również pewnymi zjawiskami rozwojowymi w radzieckiej sztuce filmowej — tendencjami, kierunkami artystycznymi czy wreszcie tematami, które w tej sztuce dziś dominują. Jak wszystkie inne — kinematografia radziecka przechodziła w swym rozwoju wielorakie fazy, miała lepsze i gorsze okresy, ale jej zasadniczy charakter nie ulegał zmianom. Film radziecki nigdy nie rezygnował z propagowania podstawowych wartości moralnych i ogólnoludzkich ideałów, co wyróżniało go i nadal wyróżnia spośród innych wielkiej kinematografii, które nie zawsze hołdują sztuce humanistycznej.

Radziecka sztuka filmowa wykluwała się z owych krótkometrażówek, które powstawały w czasie rewolucji i na początku lat dwudziestych. Obok aktualności filmowych, kronik z frontów walki z kontrrewolucją i innych pozycji o charakterze czysto dokumentalnym — były to tzw. agitki, wyjaśniające cele wojny domowej, niektóre podstawowe zasady nowego ustroju, palące problemy chwili itd. Tytuły agitek mówią o ich treści: „Bój to będzie ostatni", „Do Czerwonej Armii", „Ta fabryka jest twoja", „Zasiewajcie pola". Wśród twórców tych jedynych w swoim rodzaju filmów byli późniejsi mistrzowie — Lew Kulidżanow, Dżiga Wiertow i inni. Ale droga do „Pancernika Potiomkina", który miał stać się wielkim wydarzeniem w dziejach światowej sztuki filmowej, była jeszcze daleka.

Za pierwszą jaskółką pełnometrażowego artystycznego filmu radzieckiego uchodzi oparta na opowiadaniu Lwa Tołstoja tragedia pańszczyźnianego chłopa „Polikuszka", zrealizowana jeszcze w roku 1919 przez Aleksandra Sanina. Był to też pierwszy film produkcji radzieckiej, wyświetlany na ekranach kin zachodnioeuropejskich. W dwa lata później dopiero zjawił się „Sierp i młot", reżyserii Włodzimierza Gardina. Film ten reprezentuje już w pewnym stopniu kierunek poszukiwań, który wkrótce zostanie rozwinięty przez wielkiego Pudowkina. Pudowkin był w tym filmie odtwórcą jednej z głównych ról i zarazem pierwszym asystentem reżysera. I jeszcze jeden film z owego pierwszego okresu radzieckiej kinematografii — głośne „Czerwone diablęta". Zrealizowany w roku 1923 przez gruzińskiego aktora — reżysera Iwana Peresteniego — film ten był pierwszą apoteozą bohaterów rewolucji, utrzymaną w stylu westernu opowieścią o młodzieży walczącej z białymi bandami.

Wielka sztuka filmowa w Związku Radzieckim narodziła się pod koniec roku 1925, ściśle mówiąc — w dniu 21 grudnia tego roku, kiedy to w sali Teatru Wielkiego w Moskwie odbyła się uroczysta premiera filmu „Pancernik Potiomkin". Choć film ten, sprawiający wrażenie dokumentu, ukazuje tylko jeden z epizodów rewolucji roku 1905 — bunt marynarzy na admiralskim okręcie floty czarnomorskiej — ma wymowę wielkiego dramatycznego uogólnienia. To dzieło otworzyło nowe horyzonty nie tylko radzieckiej, lecz światowej kinematografii. Jego twórcą był młody, dwudziestosiedmioletni reżyser, Sergiusz Eisenstein, który dopiero przed rokiem zadebiutował filmem „Strajk", obrazującym wydarzenia z dziejów walki klasowej w carskiej Rosji.

Sergiusz Eisenstein nobilitował niejako kino, ujawniając zarówno jego ambicje intelektualne, społeczne i artystyczne, jak i jego olbrzymie możliwości formalne jako samodzielnej sztuki, posługującej się własnym językiem, którego podstawą był zrytmizowany montaż obrazów. Po dziś dzień „Pancernik Potiomkin" uchodzi powszechnie za jedno z najwybitniejszych, jeżeli nie za najwybitniejsze dzieło w historii światowej sztuki filmowej.

Swym nowatorskim dziełem Eisenstein obudził wyobraźnię, zapłodnił niejako i skłonił do nowych poszukiwań artystycznych innych utalentowanych twórców, których nazwiska miały również stać się wkrótce sławne na całym świecie. Pierwszym rezultatem tych poszukiwań był dramat pt. „Matka", zrealizowany w roku 1926 przez Wsiewołoda Pudowkina według powieści Gorkiego. Była to artystyczna polemika z „Pancernikiem Potiomkinem". Eisenstein ukazywał rewolucję poprzez dramat zbiorowości ludzkiej, u Podowkina był to dramat człowieka, starej kobiety — historia żony i matki robotnika, która u schyłku życia staje się rewolucjonistką. Tam było dynamiczne widowisko, tu psychologiczna opowieść; tam montaż szokujących kontrastów, tu montaż płynnych obrazów, uzupełniających się na zasadzie podobieństwa.

Pudowkin, który jako pierwszy przedstawił jednostkowego bohatera na tle wielkich wydarzeń rewolucyjnych, w podobny sposób potraktował swe dwa następne filmy: „Koniec St. Petersburga" i „Burzę nad Azją". W latach trzydziestych były one wzorem dla serii do dziś pamiętnych filmów o tematyce rewolucyjnej, takich jak „Czapajew", „Człowiek z karabinem", „Delegat floty" i in. Ich bohaterami byli ludzie, którzy pod wpływem historycznych wydarzeń stają się świadomymi rewolucjonistami.

Obok Eisensteina i Pudowkina zjawia się wkrótce jeszcze jedna wielka indywidualność artystyczna rewolucyjnego kina — Aleksander Dowżenko, wielki liryk ekranu, poeta i niezrównany piewca ukraińskiej ziemi. Patetycznemu „Potiomkinowi" i psychologicznej „Matce" — Dowżenko przeciwstawia swój baśniowy „Arsenał", zrealizowany w roku 1929. Była to wystylizowana ludowa saga, nawiązująca luźno do powstania robotników kijowskich przeciwko dyktaturze atamana Petlury. Po tej nowatorskiej próbie ukazania niedawnej historii według oryginalnej poetyckiej formuły — Dowżenko realizuje w roku 1930 swą klasyczną „Ziemię", jedno z najwybitniejszych osiągnięć niemego kina. Poetyka tego filmu, jego niezwykłe piękno urzeka dziś tak samo jak przed laty.

Eisenstein, Pudowkin, Dowżenko — twórcy trzech różnych wprawdzie, lecz tak samo sugestywnych i artystycznie dojrzałych obrazów rewolucji na ekranie — wzbogacili światowe kino o walory intelektualne i estetyczne, dotychczas mu obce. Znane już były takie dzieła, jak „Narodziny narodu" i „Nietolerancja" Griffitha, Sjöström osiągnął już szczyty swego reżyserskiego rzemiosła filmami „Wózek-widmo" i „Banici", działał już od paru lat Abel Gance i Chaplin, ale dopiero „Pancernik Potiomkin", „Matka" i „Ziemia" udowodniły światu, że film może być prawdziwą sztuką.

Te mistrzowskie dzieła, które były syntezą wielkich wydarzeń rewolucyjnych, i ciekawe formalnie eksperymenty Wiertowa, Kuleszowa, Kozincewa, Trauberga i innych reżyserów spod znaku radzieckiej awangardy, przesłoniły niejako dorobek pionierów filmu współczesnego, obyczajowego. Dopiero w latach pięćdziesiątych radziecki film tego gatunku zdobędzie światową sławę dziełami Chejfica, Czuchraja, Romma, Segela i Rajzmana. Ale nurt obyczajowy rozwijał się równolegle do dzieł mistrzów rewolucyjnej syntezy. Ambicje miał wszelako o wiele skromniejsze, chciał bowiem tylko ukazywać na ekranie codzienne

Kadr z filmu „Bracia Karamazow".

Korespondencje

Diabeł

Pragnąc po zwiedzeniu Muzeum w Łańcucie przypomnieć sobie i uzupełnić wiadomości o nim i mieście, sięgnąłem po okazały, wydany w tym roku przewodnik „Województwo Rzeszowskie", opracowany przez Stanisława Kłosa.

Ze zdziwieniem dowiedziałem się (s. 119), że osławiony „diabeł łańcucki", Stanisław Stadnicki „zginął w bitwie pod Tarnowcem — koło Jasła w 1610 roku". Zaciekawiony tą informacją szukam więc dalej, co na ten temat dowiem się przy wymienionej miejscowości. Na stronie 315 czytam: „14 VIII. 1614 r. pod Tarnowcem stoczona została bitwa między wojskami Łukasza Opalińskiego i Stanisława Stadnickiego, słynnego warchoła szlacheckiego zwanego „Diabłem łańcuckim". Brało w niej udział ok. 6 000 ludzi. Na placu zostało 500 poległych, wśród nich Stadnicki"

Mniejsza o takiego diablika jak ten, że w tekście pierwszym podano 1610, a w drugim 1614 r. Ciekawszym, grubszego gatunku „diablikiem" jest umiejscowienie tego wydarzenia pod Tarnowcem i to z dodaniem koło Jasła", ażeby czytelnik nie miał wątpliwości gdzie się ta miejscowość znajduje. Zresztą nie tylko odnośnie do miejscowości, lecz w całej swej treści informacja ta jest mylna.

Otóż według znanego powszechnie dzieła Władysława Łozińskiego „Prawem i lewem" zawierającego rozdział „Diabeł łańcucki", który jest obszerną biografią S. Stadnickiego i historia jego wyczynów, zginął on 20 (a nie 14) sierpnia 1610 r. we wsi Tarnawa koło Dobromila nie w bitwie, lecz podczas ucieczki przed oddziałem Opalińskiego. Stadnicki przebywał w tamtych stronach w oczeki-

kina

sztuki

życie z jego mniejszymi i większymi problemami, troskami i radościami. A więc „Dom przy Trubnej" Borysa Barnetta, film z roku 1928, obrazujący życie mieszkańców jednej kamienicy w porewolucyjnej Moskwie, dalej „Don Diego i Pelagia" Jakowa Protazowa — nakręcona w roku 1929 historia sympatycznej staruszki z małego miasteczka, której życie zatruwa tępy biurokrata, czy wreszcie „Wioska grzechu" Olgi Preobrażeńskiej — tragedia miłosna z roku 1927, przedstawiona na tle soczystego obrazu ukraińskiej wsi.

Lata trzydzieste przynoszą jednak kilka ciekawych dzieł o wyraźnych akcentach społecznych.

Mniej więcej na początku lat sześćdziesiątych kinematografia radziecka zaczęła się wzbogacać o nowe elementy zarówno formalne, jak i treściowe. Przede wszystkim jednak zmieniła zasadniczo sposób patrzenia na człowieka. W swoim czasie bowiem radzieckiej sztuce filmowej groziło nie tylko skostnienie form i nie tylko wypaczenie obrazu życia, lecz również pewnego rodzaju standaryzacja konfliktów i jednostronność w szkicowaniu postaci bohaterów. Ale heros na miarę antyczną już dawno zniknął z radzieckiego filmu. Jego miejsce zajął zwykły człowiek, przeżywający wątpliwości moralne i podlegający ludzkim namiętnościom. Monumentalizacja ludzi i problemów oraz czarno-białe schematy, to już zamknięty rozdział radzieckiego filmu. Najnowszą produkcję cechują wielkie ambicje intelektualne i poszukiwania nowego języka wypowiedzi. W stylistyce dają się również zauważyć coraz częściej próby odejścia od tradycyjnych form narracji, w tematyce zarysowują się dwa zasadnicze nurty: nawiązywanie do tradycji filmu rewolucyjnego, do spuścizny po wielkich mistrzach pierwszego okresu historii radzieckiego kina oraz ukazywanie konfliktów młodego pokolenia, które dramat wojny zna jedynie z podręczników historii i opowiadań rodziców. (AR)

CZESŁAW MICHALSKI

i diabliki

waniu na przybycie najnowszych żołdaków siedmiogrodzkich tzw. sabatów, miał przy sobie około 100 konnych żołnierzy, zaskoczony został w Tarnawie przez oddział kozaków Opalińskiego. Podaną przez F. Siarczyńskiego liczbę 6 000 żołnierzy obydwu stron, oraz 500 poległych po stronie Stadnickiego, a odnoszącą się do ostatniej fazy wojny, uważa Łoziński za grubo przesadzoną", uzasadniając to twierdzenie danymi źródłowymi.

Piszę to sprostowanie nie dlatego, by znana mi od dawna historia diabła łańcuckiego specjalnie mnie interesowała, ani że owa Tarnawa utkwiła mi dobrze w pamięci, ponieważ kwaterowałem w niej przed 50 laty i zwiedziłem przy tej okazji zamek Herburtów, do którego uciekający Stadnicki chciał się zapewne schronić, lecz ażeby na marginesie tej mylnej informacji zwrócić uwagę na pojawiające się często, nawet w opracowaniach naukowych podobne „diabliki", pomyłki i niedokładności — ot taki „ogródek nieplewiony" w dziedzinie historii. Na dowód, że nie jest to gołosłowne twierdzenie podaję, że gdy chodzi o diabła łańcuckiego to Wielka Encyklopedia Powszechna wyd. PWN, t. 10, s. 744 informuje: „zginął pod Tarnowcem **w pobliżu Leżajska**" (podkreślenie moje).

Gdy chodzi o legendę, czy podanie, to nie mogąc ustalić prawdy, można ją przeinaczać, przyswajać, a wydarzenia w nich podane dowolnie umiejscawiać według porzekadła „pod tą gruszką spał Kościuszko", ale nie powinno się tego czynić gdy chodzi o fakty, zdarzenia historyczne, choćby mało ważne.

A może i ja się mylę?

TADEUSZ SZETELA
Dobrzechów

Maria Cecylia Guziołek

Zamiast toastu

Fot. AR

Mija rok od powstania w Rzeszowie Klubu Miłośników Muzyki. Ostatnio — na pierwszym wieczorze klubowym po przerwie letniej spotkała się „stara wiara" nieomal w komplecie i przybyła spora grupa nowych, zgłaszając chęć zapisania się na stałych członków Klubu. Można więc przyjąć, że klubowicze nie uważają czasu spędzonego na czwartkowych spotkaniach za godziny stracone, a przypływ nowych świadczy, iż melomani chcą dalej konfrontować swą wiedzę muzyczną, chcą poznawać warsztat muzyczny artystów w bezpośredniej rozmowie z nimi, chcą... Lista życzeń i pragnień jest bardzo długa.

W naszych rzeszowskich warunkach nie wszystkie zainteresowania artystyczne melomanów znajdą odbicie w działalności Klubu, nie każda ciekawość może być zaspokojona, bo Rzeszów, który posiada kilka ognisk muzycznych, Szkoły Muzyczne I i II stopnia oraz Państwową Filharmonię, ma muzyków, pedagogów, nawet znakomitych pedagogów i teoretyków muzyki — nie potrafi stworzyć — z tej dość licznej grupy osób tak zwanego środowiska muzycznego. Każda instytucja muzyczna działa w oderwaniu. Bywa też i tak, że impreza muzyczna goni drugą, następują dzień po dniu, by ustąpić miejsca znów idealnej ciszy przez 2 tygodnie, tj. do najbliższego koncertu abonamentowego filharmonii. Wiele mówi się też o upowszechnianiu muzyki, ale ja kiegoś generalnego planu w tej dziedzinie jeszcze się nie dorobiono.

W tym chaosie Klub określił swe miejsce, chce poznawać, a zarazem popularyzować muzykę, nie chce, aby cokolwiek z życia muzycznego Rzeszowa i kraju uszło jego uwagi, nic co dzieje się w muzyce nie było mu obce.

W minionym roku Klub Miłośników Muzyki nawiązał kontakt z rzeszowskimi placówkami muzycznymi. Spotkanie z dyrektorami szkół muzycznych i dyrektorem Towarzystwa Ognisk Artystycznych, które w zasadzie jednoczy społeczne ogniska muzyczne — było pierwszym, ale na pewno nie ostatnim. Wizyta w redakcji muzycznej i studiu rozgłośni Polskiego Radia w Rzeszowie pozwoliła poznać tajniki radiowej produkcji muzycznej. Z Państwową Filharmonią Klub jest w starej komitywie, bo przecież działa pod jej patronatem. Dyrektor Józef Maroń bywa częstym gościem na zebraniach klubu. Zapoznaje z planem koncertowym i działalnością swej placówki. Szczegółowo omawiane są też programy koncertów. Klubowicze żałują jednak, że nie mogli się doczekać w ub. roku spotkania z kierownikiem artystycznym Filharmonii — Januszem Ambrosem, a mają niejedno życzenie, chętnie by też posłuchali dlaczego programy koncertów są właśnie takie, jakie są. Przyjacielska rozmowa nie tylko o sztuce dyrygowania, ale także o repertuarze „od kuchni" byłaby zapewne ogromnie interesująca, a poznanie trudności ułatwiałoby zrozumienie polityki programowej. Klubowicze wierzą, że w bieżącym sezonie jednak będą gościli kierownika artystycznego rzeszowskiej filharmonii u siebie.

Utarł się taki dobry zwyczaj w naszym kraju, że soliści orkiestr symfonicznych i goście filharmonii spotykają się z melomanami wszędzie tam, gdzie są Kluby Miłośników Muzyki. Te spotkania klubowe należą zapewne do najbardziej pasjonujących. Sławni artyści — śpiewacy, instrumentaliści i dyrygenci bez strojów wieczorowych, w tak zwanym cywilu przy stoliku z czarną kawą czy herbatą chętnie mówią o swej trudnej pracy, często obdarowują mikrokoncertem, który odbywa się przecież w jakże innej atmosferze niż sali koncertowej. Wówczas klubowicze są z kolei jakoby gośćmi artystów. Poprzez te rozmowy, dysputy i spotkania Polihymnia zapewne zyskuje przyjaciół prawdziwie wiernych.

Klimat Klubu „Turkus" Wojewódzkiego Domu Kultury, w którym zadomowili się miłośnicy muzyki idealnie sprzyja kameralnym spotkaniom ze sztuką. Artyści często zmęczeni próbami czy koncertem, w Klubie wśród swoich wielbicieli, szybko zapominają o tym, że tak niedawno „padali z nóg". Długo po zostanie w pamięci m. in. spotkanie z Barbarą Hesse-Bukowską, która po wyczerpującym koncercie i daniu kilku utworów na bis wiele czasu poświęciła klubowiczom.

Tak było! A co przyniesie bieżący rok działania Klubu Miłośników Muzyki w Rzeszowie?

Inauguracyjny wieczór wypełniło spotkanie z panią Elżbietą Nizioł — sopranistką o pięknym, pełnym ekspresji, lirycznym głosie, asystentką prof. Olgi Olginy w Wyższej Szkole Muzycznej w Łodzi. Przy akompaniamencie niezawodnego pianisty naszej filharmonii pana Edwarda Barczewskiego zaśpiewała Rachmaninowa „Nie śpiewaj najpiękniejsza" i sławną arię Cherubina z opery Mozarta „Wesele Figara". Popis był ukoronowaniem rozmowy o kon kursach śpiewaczych w Hertogenbosch, Monachium i Tuluzie, w których artystka brała udział w ostatnich latach i z każdego wróciła z cennymi trofeami, na przykład ze „Srebrnym Medalem" (Tuluza).

W ostatnich dniach listopada KMM wybiera się do Teatru Wielkiego w Warszawie, by zwiedzić gmach opery warszawskiej, być na spektaklu i poznać zbiory tamtejszego muzeum operowego. A ponieważ Żelazowa Wola nie tak znów daleko od stolicy — rzeszowscy melomani pokłonią się Wielkiemu Fryderykowi Chopinowi. Wycieczka jest w pewnym sensie prezentem urodzinowym dla Klubu od obu jego mecenasów — Filharmonii i Wojewódzkiego Domu Kultury.

Czwartek klubowy w grudniu to spotkanie z tancerzami baletu warszawskiego Teatru Wielkiego i rozmowa o balecie.

Na początek przyszłego roku planuje się „Muzyczny Happening" z udziałem pianisty Marka Kulikowca i kompozytora J. Gabrysia, dalej — dyskusję o muzyce filmowej z udziałem Wojciecha Kilara lub innego z czołówki kompozytorów tej gałęzi sztuki, następnie... Nie zdradzę dalszych planów. Program tak samo frapujący jak ubiegłoroczne i bieżące spotkania.

Klub Miłośników Muzyki był placówką potrzebną i jego rozwój świadczy, że melomani to ludzie zachłanni; chcą o swej ulubionej sztuce jak najwięcej wiedzieć. Nie są jednak egoistami. Przyjmą do swego grona wszystkich chętnych, więc szeroko otwierają drzwi comiesięcznych spotkań klubowych w „Turkusie". Otwierają i zapraszają, bo cele KMM to w skrócie: działalność nad rozwojem kultury muzycznej; wychowywanie aktywnych, świadomych i wymagających miłośników muzyki.

Rada Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa kontynuuje swą serię wydawniczą. Oto dalsze pozycje, które ukazały się na rynku księgarskim:

POMNIK W CISNEJ. **MO w walce z bandami UPA.** Wyd. Sport i Turystyka.

Folder ten zawiera ponadto streszczenie w j. angielskim, francuskim, niemieckim i rosyjskim. Cena 9 zł.

BITWA O SKALBMIERZ 1944. Wyd. Sport i Turystyka. Cena 9 zł.

ODDZIAŁ MAJORA HUBALA. Wyd. Sport i Turystyka. Cena 9 zł.

SZARŻA POD BOBRUJSKIEM. Wyd. Sport i Turystyka. Cena 9 zł.

Długa to seria. Niektóre pozycje doczekały się już wznowień. Szkoda tylko, że na ponad 70 pozycji tylko cztery dotyczy naszego województwa.

Rozpoczęły się w całym województwie szkolenia partyjne. Wykładowcom i seminarzystom polecam:

Włodzimierz Zychowicz: POMOCE SZKOLENOWE. KiW. s. 128, cena 5 zł (40 tys.).

Książka jest prawdziwą kopalnią materiałów związanych z uatrakcyjnieniem szkolenia partyjnego. Mowa jest więc o rodzajach pomocy szkoleniowych, ich miejscu i roli w procesie szkolenia, metodyce i technice ich stosowania. Również informator o organizacji i wyposażeniu sali szkoleniowej, usługach „Filmosu" i innych.

LENINOWSKA KONCEPCJA PAŃSTWA SOCJALISTYCZNEGO I KIEROWNICZEJ ROLI PARTII. KiW. s. 120, cena 6 zł (80 tys).

Część pierwszą, tytułową napisał Jarosław Ładosz, drugą stanowią prace Lenina oraz fragment referatu wygłoszonego na V Zjeździe PZPR przez Władysława Gomułkę.

Jerzy J. Wiatr: NARÓD, PATRIOTYZM, INTERNACJONALIZM. Wyd. II opr. i rozsz. KiW. s. 48, cena 4 zł (83 tys.).

Włodzimierz I. Lenin: O PAŃSTWIE. KiW. s. 44, cena 3 zł.

Wykład wygłoszony na Uniwersytecie im. Swierdłowa 11 lipca 1919 roku. W serii „Biblioteczka aktywisty ZMS".

Fryderyk Engels: LUDWIK FEUERBACH I ZMIERZCH KLASYCZNEJ FILOZOFII NIEMIECKIEJ. KiW. s. 132, cena 5 zł. (50 tys.). W tej samej co pozycja poprzednia serii.

POLSKIE OPOWIEŚCI Z DRESZCZYKIEM. Wybór i posłowie K. T. Toeplitz. Iskry. s. 260, cena 25 zł. (10 tys). Jedenaście opowiadań, których lektura włos jeży na głowie.

SABAŁOWE BAJKI. Wybór i oprac. Teresy Brzozowskiej. Wstęp Juliana Krzyżanowskiego. PIW. s. 152, cena 25 zł (10 tys.). Staranne wydanie, ciekawa oprawa plastyczna. A baśnie notowali najwybitniejsi pisarze polscy. Ciekawa pozycja.

Jalu Kurek: KSIĘGA TATR. Iskry. Wyd. IV. s. 426, cena 30 zł.

Również z górami związana pozycja. Znana i lubiana. Powieść pisana miejscami gwarą góralską.

Pierre Pfeffer: BIWAK NA BORNEO. Tłum. Przeł. Z. Stolarek. Iskry. s. 260, cena 20 zł (40 tys.) „Naokoło świata".

Interesująca relacja z pobytu grupy francuskich naukowców wśród „łowców głów". Również poznajemy nieznany świat Punanów, dzikszych jeszcze od Dajaków. Tło obyczajowe. Etnografia. Przygoda.

Władysław Czapliński, Józef Długosz. PODRÓŻ MŁODEGO MAGNATA DO SZKÓŁ. PIW. s. 242, cena 30 zł (2 tys.).

Piękny przykład sztuki edytorskiej. Starannie dobrany krój czcionek, papier żeberkowy. W ogóle pozycja do biblioteki. Jest to studium z dziejów kultury XVI i XVII wieku, na podstawie losów Stanisława Lubomirskiego.

William Shakespeare: POSKROMIENIE ZŁOŚNICY. Przeł. Z. Sawicka. PIW. s. 128, cena 20 zł (5 tys.).

Jedna z bardziej popularnych komedii autora „Hamleta".

Andrzej Świecki: 25 LAT OŚWIATY I SZKOLNICTWA W POLSCE LUDOWEJ. Wyd. II poszerzone. KiW. s. 316, cena 20 zł (7 tys.).

Tomasz Dybowski: OCHRONA WŁASNOŚCI W POLSKIM PRAWIE CYWILNYM. (rei vindicatio — actio negotaria). Wyd. Prawnicze. s. 424, cena 45 zł (2 tys.).

Kartki dla Ewy

INTERESY

Mówi do mnie mąż:
— żono droga, idź do miasta, kup mi krawat jednobarwny, najlepiej ciemnozielony. Kup mi także beret, czarny, albo popielaty, stosowne na jesień skarpetki, tuzin chustek z popeliny...

Patrzę. Słucham:
— Sporo lat żyjemy w jednym stadle, znasz już chandry męskiej duszy i tęsknoty do gorzałki, do dziewczyny... Na to nigdy nie udzielasz zezwolenia, więc potulny, oswojony z sercem jak łza czystym, z takąż samą kieszenią proszę o ten krawat jednobarwny, najlepiej ciemnozielony...

Myślę głośno:
— mężu drogi, z każdej strony znam twą jaźń, często stękającą, znam twój portfel i kieszenie, ale żeś taki wstecznik i konserwatysta nawet do głowy mi nie przyszło. Nie wiesz co eleganccy mężczyźni noszą na głowie i na szyi? Berety to andersowski przeżytek, a gładkie krawaty dawno już mole pożarły. Dzisiaj muszą być paski, prążki, kleksy, ciapki, mozaika, wzory geometryczne. Wszystko bardzo kolorowe, jak wielkanocna pisanka. Jeśli nawet trafi się egzemplarz w tonacji jednolity natychmiast wytwórcy zdobią go kółkiem, żuczkiem, albo gwiazdką, które dziwnie przypominają plamy z pasty do zębów.

W moich rodzinnych szpargałach pęta się błękitny strzęp jedwabiu z różową girlaską. Girlasce z ust płyną słowa: „come on Teddy". To dzieło sztuki jest krawatem. Muszę go zanieść do komisu, może czcigodny bubel cioci Unrry znajdzie amatora. Rozmaite są gusty publiczności i każdy lubi się czymś wyróżnić, bodaj w ubiorze.

Niestety, nie takie to łatwe i same pieniądze nie wystarczą. Trzeba mieć również znajome ekspedientki, telefon, mnóstwo czasu i szczęścia w interesach. Inaczej generalna klapa! Lepiej nie ruszać się z domu, tylko układać pasjanse. Wyjdzie nie wyjdzie. Przywiozą, nie przywiozą. Kiedy przywiozą? A jak przywiozą to ile towaru pójdzie pod ladę? Czy panna Zuzia będzie mieć dobry humor, czy też będą boleć ją zęby. Jeśli będą boleć ją zęby, to... wspaniale, hurra, sprawa na dobrej drodze.

Zadzwonimy do Mani. Mania jest najbliższą kuma, winną wprawdzie dwie stówy, które być może odpiszemy na straty, ale drobnej przysługi nie odmówi. Mania zatelefonuje do Frania, a Franio do pana Albina, pan Albin do panny Stasi, panna Stasia do pana Jasia, a pan Jasio do żony dentystki.

Powie jej:
— złotko moje, właśnie dzwoniła Stasia od pana Albina, a pan Albin jest od pana Frania... tak, z TOS-u... rozumiesz... Frania prosiła Mania, żebyś Zuzi wyrwał ząb, bo Mania...

Panna Zuzia nie będzie czekać u dentysty, nie będzie ją bolał ząb. My nie będziemy czekać w sklepie, nie będą nas bolały nogi. Przyjdziemy, obsłużą nas szybko i sprawnie. Wyjdziemy z pięknie zapakowaną paczuszką.

Chociaż nieraz i takie sposoby zawodzą. Wtedy ... poczekamy, zobaczymy. Trzeba się także pięknie uśmiechać. Uśmiech czyni cuda, otwiera serca i rozwiązuje języki. Wszyscy mówią: jak się da, to się zrobi i jak zrobi to się da. I już interes ubity. Można spokojnie spać, gdyż w czeluściach rozmaitych magazynów znajdą się buty „foki", swetry z modylenu, kalka techniczna i bristol, kalosze, kredki perłowe, może nawet konserwowa polędwiczka i ach!... ptasie mleczko.

Jak niewiele do szczęścia potrzeba. Ponura dystrybucja zupełnie na nas nie zwraca uwagi i wielce zawiłe są jej drogi. Pół roku temu trzy województwa dostały jednakowe, popielate marynarki. Gdzie indziej były wyłącznie zielone. Umundurowano biednych mężczyzn w cywilne wdzianka. Na delegacyjnych konferencjach panowie rozpoznawali się bez pudła: ten z Rzeszowa, ten z Warszawy, ów pewnie z Poznania, a tamten w kącie to chyba z Białegostoku. Kapelusze wszyscy mieli jednakowe — tyrolskie z piórkiem, tudzież jednakowe krawaty z chrabąszczem troszkę podobnym do karakona. Starała się dystrybucja, starała, a oni jak to konserwatyści byli okrutnie niezadowoleni. Marudzili, narzekali zamiast ubijać interesy.

BEGA

Kazimierz Kawulka — instruktor oświatowy przy PDK w Jarosławiu.

rys. J. SIENKIEWICZ

Z myślą o „dojeżdżających"

Przyjęliśmy jako zasadę — mówi kierownik artystyczny ZDK w Stalowej Woli Józef Zmuda — iż jedną sobotę w miesiącu poświęcamy na imprezy dla osób dojeżdżających do pracy w hucie „Stalowa Wola". Co im oferujemy? Występy zespołów pieśni i tańca, spotkania z pisarzami, sztuki teatralne. Każdą z tych imprez poprzedzamy słowem wstępnym, np. informacją o autorze wystawianej sztuki. Muszę powiedzieć, iż imprezy te cieszą się olbrzymim powodzeniem, a licząca 900 miejsc sala nie zawsze może pomieścić wszystkich chętnych. Poza działalnością „stacjonarną" w Stalowej Woli, organizujemy różne imprezy w miejscu zamieszkania pracowników, np. w Pysznicy, Jastkowicach, Kępiu Zalesiańskim i innych, skąd rekrutuje się największa liczba dojeżdżających. Są to m. in. wieczory z pisarzem, seanse kinowe, pogadanki w ramach dyskusyjnych klubów filmowych itp.

Elektroniczy czardasz

(Ciąg dalszy ze str. 6)

najbardziej podczas koncertu „Gwiazdy melodii i piosenki cygańskiej" za serce chwytały popisy skrzypków: Karola Rajja i Adama Dino. Toż przecież Cyganie są mistrzami w improwizacjach smyczkowych, tak jak Cyganki niedoścignione w ekstatycznych tańcach. Piętnastoletnia, bosonoga Niani Tykni uwodzi zwyczajowym, pochodzącym z Indii — tańcem, który przez setki lat przetrwał w taborach cygańskich.

Mocnymi wrażeniami serwowała, jak zwykle, Randia i Masio. Ten ostatni po sukcesach (począwszy od popularnej piosenki „Byle dobry był dzień") w beatowym zespole „Chocholy" — nie zapomniał, że w nim przecież cygańska krew płynie. Porwał kiedyś Szungię — tancereczkę z „Therno", a za ten wyczyn, jakże chętnie poddał się karze zaślubin! Do dziś z Randią, Dębickim, skrzypkami, tancerzami i żoną pracuje w „Therno" w jednym z nielicznych i bez naciągania: prezentującym wysoki poziom, cygańskim zespole w Polsce.

JUSTYNA WOŚ

Podwórkowy big-beat. *Fot. M. KOPEC*

Kształty przyjaźni

(Ciąg dalszy ze str. 1)

staci jest prostsza, szczególnie bliska. Przyjaciel zwie się różnie, czasem Wania, nie kiedy Siergiej, Aleksy, Aleksander lub inaczej: Olga, Tatiana, Natasza. Jest z reguły serdeczny, bezpośredni, uczynny, wrażliwy na dobro i zło. Umie głęboko przeżywać i cieszyć się życiem i gdy trzeba, pogardza śmiercią. Poznaliśmy go takim w latach wojny — 600 tysięcy żołnierzy radzieckich poległo na polskiej ziemi. W czasie pokoju, w odmienny, nie tak heroiczny sposób pozostaje — bliskim druhem.

Tak przełamuje się wielkie pojęcie przyjaźni dwu bliskich ideologią i celami narodów w zwierciadle życiorysów zwykłych ludzi. (AR).

ZOFIA LEWARTOWSKA

ZDARZENIA TYGODNIA

● *Dla uczczenia 25-lecia Polski Rzeczypospolitej Ludowej przygotowuje się w naszym województwie wydanie monografii powiatów. Każda książka zawierać będzie materiały ukazujące dorobek gospodarczo - społeczny poszczególnych regionów w minionym ćwierćwieczu. W związku z tym w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej odbyła się ostatnio narada autorów, opracowujących rozdziały o rozwoju kultury.*

● *W Wojewódzkim Domu Kultury w Rzeszowie odbyło się posiedzenie organizacyjne Wojewódzkiego Komitetu XVI Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego, który przebiegać będzie pod hasłem: „W 25-leciu zwycięstwa nad faszyzmem i powrotu Ziem Zachodnich do Macierzy". Przewodniczącym Komitetu został zastępca kierownika Wydziału Kultury Prezydium WRN w Rzeszowie — mgr Józef Kanik.*

Na zebraniu ustalono terminy imprez konkursowych w województwie. I tak turnieje środowiskowe przeprowadzone zostaną do 15 II 1970 roku, powiatowe i miejskie od 15 II do 31 III, a turniej wojewódzki od 17 do 19 IV 1970 r. W repertuarze konkursu eksponowana będzie poezja i proza poświęcona współczesności.

● *Dużym zainteresowaniem cieszy się wystawa poświęcona twórczości amatorskiej w malarstwie i grafice, która czynna jest w świetlicy PZGS w Łańcucie. Zgromadzono na niej 52 prace.*

● *Staraniem Wojewódzkiego Domu Kultury i Zarządu Wojewódzkiego ZMW zorganizowany został kurs dla kierowników świetlic oraz wiejskich domów kultury województwa rzeszowskiego. Bierze w nim udział 30 osób. Uczestnicy kursu wysłuchają wykładów z zakresu muzyki, literatury, filmu itp. Wśród wykładowców znajdują się m. in. dr Wojciech Marczyk i red. Romuald Frey z Warszawy. W programie zajęć przewidziane są również imprezy rozrywkowe oraz wycieczki krajoznawcze. Kursanci mają zwiedzić muzea: w Rzeszowie oraz w Łańcucie, a na seminaryjnych zajęciach podzielą się doświadczeniami z dotychczas prowadzonej działalności kulturalno - oświatowej.*

● *Klub „Energetyk" w Stalowej Woli rozwija ożywioną działalność. Szczególnymi osiągnięciami legitymuje się teatr żywego słowa i zespół estradowy, których członkowie przygotowali z okazji 25-lecia PRL wiele ciekawych imprez.*

● *Wkrótce na półkach księgarskich ukaże się książka Władysława Szelągowskiego, pt. „Wzburzony San". Autor opisuje w niej historię walk o utrwalenie władzy ludowej na Rzeszowszczyźnie w latach 1945 — 1947.*

● *W Klubie MPiK w Rzeszowie odbyły się w ubiegłym tygodniu ciekawe spotkania autorskie. M. in. krakowski poeta Leszek Herdegen mówił o współczesnej poezji i swojej twórczości, a mgr Stanisław Mycielski, w ramach stałych pogadanek: „Poznajemy świat i ludzi" wygłosił odczyt pt. „Kalifornia — kraina wielkich drzew".*

● *We wsi Swiebodna, powiat jarosławski, przekazano przed kilku dniami do użytku nową szkołę. Koszt jej budowy wyniósł ponad 2 miliony złotych. Szkoła otrzymała imię poety Władysława Broniewskiego.*